



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

DOBRY PRZYKŁAD.

Naśladownictwo jest jednym z charakterystycznych rysów przeciętnego człowieka. Mało jest ludzi, którzy samodzielnie i niezawisłe drogi swoje chcą i mogą torować, większość przyjmuje chętnie formy życia gotowe, bo nie wymaga to pracy, głębszego nad tem życiem namysłu, nie wymaga oryginalnego pojmowania go według własnej modły naszej. Ztąd też zły, lub dobry przykład gra rolę niemałą w takim, a nie innym, pokierowaniu się wielu ludzi, a nawet całych grup wielkich, całych warstw społecznych, które w zwyczajach i obyczajach swoich, tak się przez naśladownictwo do jednej normy życia urabiają, że odciska to piętno swoje na ich duchu i moralnie upodabnia ich do siebie. Podobieństwo położen i obowiązków, wspólności tradycyi, musi też z konieczności oddziaływać tu i wpływami swemi się zaznaczać, ale niemniej przykład ma w tem dział wielki, ogromny. Wiemy, że jest zaraza bohaterstwa, cnoty, zapału; jest zaraza podłości, nikczemnego płaszczenia się duchów, zniżania poziomu uczuć naszych. Śmielsi, gorętsi, wynioślejsi, dają hasło, to jest występują z przykładem, który rzesze za sobą pociąga i siłą swoją rozpowszechnia zło lub dobro. Potrzeba nieraz jednego heroicznego rzucenia się naprzód ze strony odważnego człowieka, aby tłum cały, wahający się lub obojętny, poszedł za nim i spełnił jakieś dzieło wielkie, jakąś ofiarę szlachetną, czyn dobroczynny. Prawie każdy z nas widział, jak do ratowania z pożaru, do datku dla biednego kaleki potrzeba ludzi przykładu: skoczenia jednej osoby ku płonącemu budynkowi, hojnego rzucania grosza przez dłoń jedną, aby tłum ze-

rwiał się do poświęconego czynu ofiary. Uczucie miłosierne, poczucie się do obowiązku pomocy bratniej istniało w sercach, ale niewydobyte na wierzch, nieśmiało, przyciszone przez głos niby rozsądnego samolubstwa, które swój interes zachowawczy górną stawiło, chrzcząc nazwą szaleństwa poświęcenie. Odbywała się tak w głębiach piersi cicha walka lepszych i gorszych popędów naszych: aż oto nagle przykład dał poparcie stronie jednej, coś w nas zawołało: — Kiedy ktoś uczynić to może, mogę i ja... i rzecz dobra stała się, jakgdyby niespodziewanie, samorzutnie, a rzeczywiście pod wpływem przykładu. Tak samo bywa i w złem: oto jakaś garsć ludzi, jakiś oddział wojska, pułk jeden broni wobec armii całej straconego stanowiska: broni, walczy, trzyma się rozpacznie ostatnią siłą woli, ostatniem obowiązku uczuciem, gdy nagle, jak pod Waterloo, żołnierz jeden krzyczy: „Sauve qui peut!“ i oto strach śmiertelny ogarnia wszystkich, tłum broń ciska i zbiega z posterunku — ucieka, lub zdaje się pokornie stronie przeciwnej, jak trzoda owiec, która z wszelkim losem się godzi. Niższe, zachowawcze instynkta, egoizm, dotąd przez uczucie godności, ideę obowiązku, miłość sztandaru swojego głuszony, dostał nagle poparcie dane mu przez zły przykład: usprawiedliwienie niby, że człowiek na takiej wysokości bohaterstwa już się utrzymać nie może!

Przykład to zatem siła, to potęga, którą ludzie wzajem nad sobą dzierżą. Każdy z nas ją posiada, choć w stopniu pewnym, każdy wypromienia ze siebie wpływ, działający w kółku jego i każdy też zostaje pod moralną odpowiedzialnością, nie tylko czynów własnych, ale i tych, które są z niemi łańcuchem danego przykładu związane. Ten nikczemny, który z miłości wziętku lub z trwogi o osobę swoją nisko pełza i wszystkich słabych, lękliwych, niepewnych, co im czynić wypada, do pełzania za sobą doprowadza; ten próżny, który przez chęć błyszczenia innych, duchem malucz-

kich i godności odmiennego rodzaju niepojmujących, pociąga do wyrównywania mu w blichtrze zewnętrznym; pyszny, który pychy uczy; zimny, chłód wkoło siebie rozszerzający — wszystko to są winowajcy, gorszyciele, nad którymi Chrystus woła: — Biada im! Na ich rachunek muszą przypaść tamte upadki, tamte ruiny, kłęski dusz i ciał, którym dali początek, utorowali drogę. Jeżeli świętym jest ten, co uswieca, potępionym powinien być taki, który na potępienie przywodzi, i tak, jak Kain Bogu, nie usprawiedliwi się on, odpowiadając, iż brat jego nie był mu pod straż oddany! Kto słabego potrąci, jest winnym jego upadku i wykładająca to groźba ewangeliczna, zaczyna się od słów: — „Ktoby zgorszył jednego z tych maluczkieli!...“

Spółczeństwo ma też niezawodne prawo pociągania do odpowiedzialności gorszycieli i tak: w narodzie ubogim gorszycielami są ci, którzy próżnują, ci którzy marnotrawią, którzy zbytkują. Przez to, że ogółowi potrzebnym jest dorobek, zachowywanie i oszczędzenie troskliwe, owi którzy wiedzą na pokuszenie słabych, są winni, nie tylko własnego pasożyctwa, własnego trwonicielstwa, własnej rozrzutności. Szkodliwi są przez porękę daną złemu, przez złego szerszenie, rozprawianie zarazy moralnej: powinien też być rozciągnięty wkoło nich pewien kordon odosobniający. Powinien też każdy ojcu rodziny ich strzedz, każda matka dzieci zdala się od nich trzymać; każdy człowiek wreszcie, słabszy czy mocniejszy, powinien ich omijać i na drodze swej ich nie mieć, bo niebezpieczną jest rzeczą ze złem się godzić. Oswajamy się z niem, przyzwyczajamy się do niego mimowoli, i nieraz potem ulegamy bezwiednie, przez straconą w ten sposób siłę odporności.

Nie jest ani tchórzem ducha, ani surowością przesadną taki ostracyzm moralny. Trzeba nam go mieć, każdemu na rachunek własny, bo strzeżonego i Pan Bóg strzeże, a śmiałków psy kasa- ją; wreszcie któż-to, światło kochający, do cie-

mności się garnie? kto pragnący dobra, lubuje się w rzeczach za złe przez siebie uznanych? Kompromis taki, nienaturalny logicznie, zrozumieć się nie daje; można go też wytłumaczyć sobie tylko przez słabość lub gnuśność; lecz właśnie dla takich stanów ducha zetknięcie ze złem, złego przykład, jest niebezpieczeństwem i może być szkodą najcięższą. Słabość ulega, gnuśność się wzięć pozwala: więc słabość czy gnuśność są bezbronnością wobec wpływu, który podbić je zechce, wobec każdego wpływu, który długo i silnie na nie działa. Siłą słabych jest ostrożność, tak, jak najpewniejszą cechą miłości dobra jest wstręt ode złego. Ubezpiecza to lepiej niż złego pogarda, lepiej nawet niż złego nienawiść: przez prawo i przez naturę duchowej naszej godności omijamy, odpychamy rzecz złą, bo ta przez gatunkową niższość swoją sprawia, że się do niej schylać musimy; niema też między złem a dobrem innej drogi nad omijanie się lub walkę. Jest jeszcze obowiązek nawracania, ale tkwi on najgłówniej w przykładzie dobrym uczciwego życia, cnoty podniosłej. Człowiek czysty świeci tak, jak wszelka białość, i ztąd czyni się koło niego jasność, która w oczy, chcące patrzeć, bije przykładem dobrym.

Jak przykład zły może działać szkodliwie na dobrych, tak dobry potrzebnym jest choćby najlepszemu, bo staje mu z pomocą i poparciem w chwilach ciężkich i trudnych, umacnia gdy słabość, nieodłączna od natury ludzkiej, uderza na nas, bije takim potem krwawym, jakim przed ofiarą Golgoty Chrystus oblewał się na Górze Oliwnej. Najświętsi, najczystszy, najmocniejszy mają takie momenta zatrzeżenia ducha przed walką, przed boleścią, przed ukoronowaniem cierniowem, i wtedy-to przykład dobry przystępuje jako przyjaciel, który podpira i umacnia. Opieramy się na duchu, który umiał być mocnym, umiał być wytrwałym i zwyciężył: krzepimy się jego siłą i przez jego niezachwianą odnajdujemy wiarę w niezachwianą naszą, nadzieję w nasze zwycięstwo.

Dobry przykład, który nam przedstawia cnota i szlachetność ludzi uczciwych, jest drugostronnie rozkoszą dla dusz pewnych. Istnieje estetyka moralna, która rodzi zamiłowanie piękna, złożonego w głębiach ludzkiego ducha, i tę zdolność, ten smak moralny, posiada każda osobistość podnioslejsza. Co jest gruntem poezji u młodości szlachetnej, co jej każe rwać się ku ideałom górnym, i wyciągać ręce ku czynom wielkim, ku szczytności bohaterskiej, ku ofiarom czystym i nieskalanym? Piękność tych postaci, tych obrazów, tych barw i blasków zachwyca najpierw i pociąga ku sobie, i miłość w sferach ideału przechodzi poniekąd takie same koleje, jak miłość warunkami ziemskiego bytu zawarowana. Duchy zakochają się w tych pięknościach z archaickimi skrzydłami, i z owej miłości piękna cnoty wynika cześć cnoty, przywiązanie do cnoty. Nie mogąc się już oprzeć jej wdziękowi słodkiemu, zakochany w niej, bierze od niej natchnienia i rozkazy: Sokrates pije czarę cykuty, patrząc w blask pogodnie zachodzącego słońca, a Żyrodziści na czarnym wozie śmierci śpiewają hymn do wolności!

Przykład dobry jest kordyalem, który krzepi w potrzebie, jest w biegu istnienia naszego na ziemi promieniem świetlanym, który maluje nam obrazy piękna, i rozwija na drodze naszej kwiaty poezji, woni ich udziela cnotcie. I staje się to, że piękno czyste i wzniosłe kochamy dla jego dobra, a dobro dla jego czarownego piękna: aż zwolna dwa te pojęcia zlewają się nam w jedno, i z harmonii, ztąd powstałej, czerpiemy natchnienie do czynów poświęcenia: moc do walki, gdzie jej potrzeba, do wiary w zwycięstwo, które nie przepada i wtedy nawet, gdy bohater pada przesyty ciosem śmiertelnym. Idea jego nie ginie z nim razem, lecz ulatuje w przestrzeń, zapala się gwiazdą na niebie ideałów cnoty, i jako przykład dobry świeci ludziom z podniesienia swego, grzeje im pierś i wzrok ku górze podnosić każe.

Przykład dobry powinien przecie znaleźć przygotowany dla siebie grunt serc i umysłów. Wychowanie je urabia, bo cno tworzy poniekąd człowieka moralnego, i jakkolwiek przynosi on ze

sobą, złożone już w duchu swym zarody siły, wychowanie rozwija je i zwraca w kierunku pożądanego sobie celu. Wychowaniu należy najpierw dać tu postawę mocną i gruntowną i pedagogika dzisiejsza dowodzi, że polega ona na nawyknieniu do dobra i piękna moralnego, na przyzwyczajeniu do cnoty, nabytem pierwaj niżej myśl rozumująca przyjdzie dać temu uświęcającą sankcyę. Wolna wola dojrzałego człowieka wystąpi o godzinie swojej czynić wybór między kierunkiem lewym a prawym, ale dobre wychowanie, jak anioł stróż czystej młodości, stać już będzie obok i dopomoże, aby nie było błędu, ani omyłki.

Jak przecie otrzymać owo, tak bardzo potrzebne, nawyknienie do dobra, wdrożenie się do cnoty, zanim rozum i oświecone nim uczucie dzieła tego dopełni? Zagadnienie musiałoby polegać na ślepej posłuszeństwie, wymożonym na istocie młodej przez czujność ściśle dozorującą; lecz dziecko, które jest rozwijającym się człowiekiem, ma już złożone w sobie zarody tychsamych sił i instynktów, które będą kiedyś grać w jego uczuciu, bić w tętnach jego serca, błyskać w jego myśli, być w nim sympatyę, którą zdobyć można, zapalem, który rozbudzić się daje, i wychowawca wymawia znowu słowo tak ważące na szali życia ludzkiego:—przykład dobry!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

CZECZOTKA

Powieść z dawnych czasów

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

Kiedy tak siedzieli staruszkowie, jak pospolicie zowią „w orla dartego“, dogadując sobie mruzeniem przeróżnych przycinków, na wierzchołku jednej góry, którą przechodziła wyłobiona w skale wązka drożyna, jedyny łącznik onej zapadni z resztą świata, ukazał się dla patrzających z niziny jakby punkcik małeńki, zwiastujący o rzadkiem w zaciszu wydarzeniu: o przybyciu kogoś obcego z innego świata. Na ten niezwykły widok oboje starzy zamilkli, a zawsze odwróceniu od siebie, w on punkcik pilnie się wpatrywali. A ponieważ droga była nieuczyszczana, a przez kręty wąwóz prowadziła, punkcik więc ów poruszając się zwolna, stopniowo wzrastał w oczach patrzających, aż dopiero po pewnym czasie, kiedy na połowie stromej góry się znalazł, dla obserwujących już stał się niewielkim wózkiem zaprzężonym w parę koni; wtedy oboje starzy, opuszczając swoje miejsca, spotkali się na środkowym punkcie owego malowanego przedziału, i oboje jednocześnie z uprzejmością do siebie przemówili:

— Moja jejmość, wybaccie, żem się trochę zaperzył. To ta niegodziwa sierdzistość, nad którą rozum nigdy nie zapanuje. A składając moje ekzuzę, po bliższem spenetrowaniu rzeczy widzę, że waszemu słusznemu żądaniu, co do udzielenia robotnika, winienem i mogę zadość uczynić.

— Mój jegomość — prawila jednocześnie niewiasta — wybaccie tej mojej niewczesnej gorączce. Ot, zwykle nasze białogłowskie alteracje; po głębszym namyśle skombinowałam się, że nie będę was pozbawiać tak drogiej w gorący czas gospodarski robocizny, a z mojemu służebnemi wszystko załatwię.

— Ależ, moja jejmość! Zbyteczne są wasze ekzuzy. Jam to wszystkiemu winien i szczerze się submittuję.

— Gdzie zaś jegomość! Jam to dała okazyją i ode mnie ekzuzę się należy. Tylko nie chowajcie do mnie rankoru, bo ot i Bóg daje gości. Nie chciałabym, aby z mej winy oblicze wasze było zaszepione.

— A tak, tak, moja jejmościuniu. Między nami różnie tam bywa; ale przeto za łaską Bożą, dożyjemy w świętej zgodzie, a przed gośćmi—sza! „Zeby cię pieczono i smażono w smole, nie opowiadaj, co się dzieje w szkole.“

Mówił to jegomość rubasznie, a całując z galanteryą rączkę jejmości, dodał:

— To jako należna submissya i exkuza. A teraz, moja jejmość, pójde się ogarnąć, żeby przystojnie gościa powitać. Ciekaw jestem: kogo to nam Bóg daje; zdawało mi się, że to może jaki bernardyn, kolega O. Hugona... Ale to nie ich konie. Zresztą obaczmy, bo za kilka pacierzy już będzie tu.

Poczem oboje starzy zniknęli, każde we właściwym ganku.

Oile starzy radzi byli tej dywersyi, która nie miała ich „separacyę“ u samego początku przerywała; o tyle młodzi wbrew przypowieści „gość w dom Bóg w dom“—nie cieszyli się z tego; pierwsza Zosia, powstając, rzekła niechętnie:

— Trzeba się nam przebrać na wszelki wypadek, gdyby rodzice zawołali do gości.

Poczem rozłączyli się młodzi markotni: ona wstąpiła do zielonego, on zaś do czerwonego ganeczku.

Tymczasem gospodarz domu, zamieniwszy szary kubrak płócienny i pas skórzany na kontusz a pas jedwabny przy karabeli, stał w ganeczku zgięty we dwoje, oczekując uprzejmie na przybycie gości.

Na podwórko wtoczył się niewielki, zgrabny wózek węgierski, parą różnych koników ciągnięty. Gość, dojrawszy zdala gospodarza, wyciekającego w ganku, przez równą grzeczność kazał się woźnicy zatrzymać niedojeżdżając, a zrzuciwszy ze siebie biały kitel podróżny i słomiany kapelusz, kroczył szybko do ganku; odrazu okazał postawę wspaniałą dorodnego mężczyzny, w sile wieku; miał na sobie kontusz z sajety granatowej na żupanie, koloru słomkowego, i pas słucki, złotem na niebieskiem tle przerabiany; w rękę trzymał niewielki kołpaczek rysy o denku złotem, zczaplem piórkim. Widać było, że nawykł ubierać się z pewną fantazyę i wytwornością, tak, iż snadno było poznać w nim człeka bywałego na wielkich dworach.

Gospodarz, widząc gościa krocącego ku sobie, nierozprostowany z pokłonu, pośpieszał na powitanie; lecz gdy już się zbliżył ku niemu o kilka kroków i wznosił wzrok do góry, pozbywszy się ceremonialnej postawy, rzucił się gościowi na szyję i zawołał:

— Oto mi gość! A niechże będzie Bóg pochwalony! Witajże, witaj bracie Tomaszul!

I ściskali się jak bracia, chociaż bowiem krewienstwo między nimi było dalekie, jak to dawniej powiadano: „dziesiątej wody na kiesielu“, lecz wówczas węzły krwi jeszcze się tak nierozluźniały, jak dzisiaj.

Skoro tedy obaj mężowie dowoli się wyściskali, gospodarz, prowadząc gościa do ganku, wołał na całe gardło:

— Jejmość! dzieci! brat Tomasz przyjechał. A chodźciez tu co żywo na powitanie miłego gościa.

Natychmiast z zielonego ganeczku ukazała się jejmość, choć w tamsamym kornecie, ale nieco podczubiona świeżą kokardą; za nią dziewczeczka, kraśna, jak wisienka,—ta tylko jakimś kwiatkiem, skradzionym z wianuszka, dopomogła wdzięcznej naturze,—a żywy rumieniec przybyciem gościa wywołany reszty arcydzieła dokonał; wszakże Stwórca łaskawy niewiele mu roboty pozostawił. Z jejmością gość się ucałował w ramiona, obycazem poważnych ludzi, młodzi zaś z należnym respektem przystąpili do rączki pana wuja, który, witając Zosię lekkim uderzeniem po kraśnych jagodach, ozwał się:

— A toś mi wypiękniała, moja jejmość! pewno za mąż poszłaś...

Biedne dziewczętko na ten żart omal nie spłonęło ogniem oblewającym jej, i bez tego rumiane, policzki; szczęściem, że gospodarz domu przyszedł dziewczynie w sukurs:

— Alboż nie mogłaby nietylko ślubować, ale i owdowieć, od czasu, kiedy pan brat byłeś na nas łaskaw?

— No, a ty kawalerze — ozwał się z kolei

pan Tomasz, uderzając z całej siły Justka po ramieniu — czegoś tymczasem dokazał: czyś już rotmistrzem pancernej chorągwi, czy rektorem O.O. Jezuitów?...

— Dałby Bóg, panie wuju — odparł niezmięszany, całując w rękę — abyscie mi pierwsze wyprorokowali, lecz co do drugiego, nie czuję w sobie wokacyi.

— To bardzo złe, bo „ksiądz w rodzie bieda nie dobodzie.“

— Oho, co dotyczy księdza, a skocz tam Justek do O. Hugona i powiedz, co to za okazyją mamy z łaski Boga: niech starowina przyjdzie się z nami nacieszyć. A wy, jejmościuniu, poszperajcie tam dokumentnie w waszej apteczce, bo już kto po naszych drogach się tłucze, to prawdziwy przyjaciel.

— „Nie ma złej drogi“ — rozpoczął jowialnie pan Tomasz, patrząc na kraśniejącą Zosię, ale mu przerwał gospodarz.

— A patrzcie go, co za bałamut! Spróbuj tylko skończyć, panie bracie, zadenuncyję cię przed panią bratową, na jakiego-to się waść bisurmanina sposobisz. Zosiu, uciekaj od tej pokusy.

— Ano, czemużbym nie miał skończyć? — powiadał p. Tomasz filuternie — „Nie masz złej drogi w tak gościnne progi“, a teraz możesz mnie panie bracie zapoznać przed trybunał matrymonialny i wygram sprawę.

— Ano, patrzajcie go, złapże tu, bądź mądry! To czysty piskorz: już go masz w garści, a on ci się przez palce wyśliznie... cha! cha!... — śmiał się do rozpuku gospodarz, a pytał:

— Cóż to waćpan rozmaitym bogom służysz, bo i Temidzie i muzom?

— Ba, ciągnę za ogony wszystkie sroki, jakie się ino nadarzą: to najpewniejszy sposób żadnej nie pojąć.

— Tak czy owak, ale niech ci Bóg sekunduje, miły bracie żeś mnie nawiedził, bom się kaducznie do ciebie stęsknił — zawołał uradowany gospodarz, ponawiając uścisk serdeczny.

— Ot, wiesz co, bracie Tomasz: *sum cuique*; nie chcę brać, a raczej kraść, co nie moje, a na ten raz odpowiem ci starą przypowieścią — „nie masz karesu bez interessu“; bo oto ja do jego mości w pewnej sprawie...

— „Sprawa... interes“ — przerwał gospodarz, odskakując od gościa z trwogą i zdziwieniem — a to coś nowego, mosanie, nietylko dla mnie, ale dla moich antenatów, bo my, Czeczotkowie, od kilku pokoleń zapaściliśmy się w te skały, jak w przepaść, żeby owych wyrazów ze świata waszego, „sprawa, interes“ niesłyszeć.

Sposępniał po tych słowach, stracił animusz i fantazyją, które go na powitanie gościa były opanowały, i mówił już nie bez pewnej trwogi:

— A dajże mi pokój, panie bracie, z owym *interesem*; nie poruszaj kości dziada, pradziada i pradziada, którzy tu spoczęli w tej spokojnej i zacisznej Czeczotce, a o uszy ich szczęśliwie nie obil się nigdy wyraz „sprawa.“ Dlatego-to oni na tak małym przestawali i nic nie żądali od tego tam świata — (tu wskazał ręką na wierzchołki skał), aby i on niczego od Czeczotów nie żądał, a zostawił ich w pokoju. — Ano, mów już, rozповідаj, panie bracie, co to za ta sprawa; bo mnie jakoś mrowie przechodzi — a w duchu sobie dodał:

— Nie darmo to jejmość przed godziną upominała, żeby nie wywoływać złych duchów: otóż ich masz, przyszli jeszcze z *interesem*!

Tymczasem gość, który pod tak dobrą wróżbą próg ten przyjazny przystąpił, stał teraz zmortyfikowany tym niespodzianym obrotem rzeczy; bolesno mu się stało, iż w dom, który miłował, wnosił, według uprzedzenia gospodarza, zmartwienie.

— Ano, mów, mów — powtórzył niecierpliwie gospodarz — bo stoję jak na żarzących węglach, hm, hm, *interes* — mrucał sobie.

— Ej, bracie Wincenty, na gorąco waść kąpany, a ja ci powiadam, nie taki straszny dyabeł, jak go malują — rozpoczął przybyły z perswazyją.

— A co? „dyabeł“? Ze złym duchem poczynasz: miała jejmość rację, że sam to wywołał! —

przerwał gospodarz, gwałtownie kładąc na siebie znak krzyża.

Pan Tomasz, patrząc zdziwiony, a niemniej przerażony, na uprzejmego przed chwilą gospodarza, już był w obawie, iż go nagle rozum odstępował, gdy wtem ukazała się w ganku jejmość z Zosią. Znikły one były przy pierwszych powitaniach, a teraz powracały z tacami, uginającemi się pod ciężarem rozmaitych darów bożych, stawiając zaś to wszystko na ganku, gospodyni ozwała się uprzejmie:

— Co mam łaski, panie bracie, prosimy na ten skromny posiłek. Co Bóg dał, czem chata bogata tem rada.

Zajęta zaś przygotowaniami częstunku nie uważała konfuzji na obliczach mężczyzn.

— Ano, panie bracie, co mam łaski, prosimy — ozwał się gospodarz, siłąc się na dawną uprzejmość, a prowadząc gościa pod rękę ku gankowi, szepnął mu:

— Albo wiesz co, bracie, już mi nic nie mów o tym *interesie*, bo nie chciałbym zaburzyć tego kontentu, jakiego doznaję z twego przybycia. Sza! przed babami i księdzem — zakończył tajemniczo.

Tymczasem Justek służył za podporę starszkowi bernardynowi. Był to człek lat bardzo podeszłych, pięknej postawy, wręczwego i wesołego oblicza, nogi mu jedne nieco zawadzały, ale co do reszty trzymał się niemal pomłodzieńczemu, a humor, wesołość i spokój, którymi snadź długie służenie sobie Bóg mu odplacił, zdobiły jego miłą starość.

Powitanie ojca Hugona sprawiło pewną dywersyją, w owem zachmurzeniu pomiędzy gościem i gospodarzem; miodek ich do reszty wypogodził, chociaż nie można powiedzieć, aby jednemu i drugiemu nie marszczył czoła pewien niepokój, nad którym zapanować usiłowali.

Noc przy wczesnej jesieni była ciepła i pogodna; rozpalwszy więc latarnie na ganku, dłużej się zabawiali. Z powinności zaś domowej, oboje gospodarze wydaliwszy się dla dyspozycyi, pozostawili gościa sam na sam z O. Hugonem, gdyż młodzi także znając, *mores* ówczesne, nie śmieli się starszym narzucać, co prawdopodobnie spełnili z ochotą, przekładając odosobnienie; było to na rękę gościowi, bowiem O. Hugon, posiadał wielką przewagę nad całym domem, już-to raz jak każdy duchowny przykładnego życia, a niemniej i z tej racyi, że był stryjem rodzonym gospodarza, i poświecku także Czeczotką. Z czystego powołania, wstąpił zamlodu do zakonu, któremu wysłużywszy gorliwie pół wieku z okładem, dziś jako emeryt, uzyskał prawo odpocznienia i pokrzepienia starości, a sił pracą nadwątlonych, i osiadł na kapelanii w Czeczotce, gdzie się urodził i gdzie teraz swojem oddychał powietrzem.

Kiedy pozostali sami z panem Tomaszem, ten pośpieszył wyjaśnić powód swego przybycia, który również zachmurzył pogodne czoło starego zakonnika; wszakże, spokojniejszą z natury i stanu swojego, wysłuchawszy sprawy do końca, zadecydował:

— Smutne to, zaiste, ale nie masz złego, coby na dobre nie wyszło. Dobrześ to waść uczynił, żeś się podjął tej pertraktacyi, bo kielich goryczy przyjazną ręką podany zawsze mniej cierpkim bywa, a jako krewny i przyjaciel mniej szorstko do tego przystąpisz. Dziś nie daj się wybadać, a jutro po mszy św., którą odprawię na intencyą pocieszenia Wincentego, jakoś skombinujemy, aby owo cierpkie danie oile możności osłodzić.

W trakcie tego dyskursu wracał pan Wincenty do gościa; lecz O. Hugon natychmiast zęgnął się, mówiąc:

— No, ichmościowie spać, bo dalej i kur zapieje, a do dnia czekam na was ze mszą św. na podziękowanie Bogu, że nam tak miłego gościa zesłać raczył.

Stary, oparłszy się na lasce i Justku, posunął ku swojej plebanijce, która się znajdowała wśród pięknego sadu i pasieki, za kaplicą.

Gospodarz gościa prowadził na spoczynek. Niezawodnie, gdyby się byli dwaj przyjaciele spotkali w zwykłych warunkach, do brzasku prze-

dłużyłaby się pomiędzy nimi serdeczna gawędka; ale teraz owa sprawa stała się pomiędzy nimi, jak nieprzebyty przedział, i jeden przed drugim udawał sennego, a pilno im było na spoczynek, którego istotnie żaden nie zażył: jeden trapiiony myślą, w jaki sposób podać ową czarę goryczy bratu i przyjacielowi, drugi niespokojny odgadywaniem tego, co się zawierało pod straszny wyrazem „interes“, który z dziada pradziada, wszyscy od siebie odpychali.

Dzień jeszcze dobrze nie zaświtał, gdy obadwaj już stali na nogach, a tak im jakoś było nierażno, jak nigdy; nie wiedzieli, co ze sobą począć, lecz szczęściem O. Hugon na mszę zadzwonił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

XI.

Wiek nasz, trzeba to przyznać, nie stworzył nic oryginalnego w dziedzinie sztuki; co najwięcej, przywrócił tylko naturalizm, który już i dawniej istniał. Ale nigdy może nie rozprawiano tyle, nie pisano, nie wydano prac o sztuce, jej teoryi i dziejach. Jest to zajęcie się nietylko sztuką i jej utworami, ale i samymi artystami, a jeżeli jeszcze moda przyłączy się do tego zamiłowania, artysta znajduje wspaniałe wynagrodzenie za swą pracę. Ale ta moda wtrącająca się do wszystkiego, jest niestała i kapryśna. Tak zapowiadano dla nabicia kieszeni spadkobierców, sprzedaż po śmierci Makarta, jednego z ulubieńców wieku. Niewiadomo jeszcze, jak się ta sprzedaż skończy, ale z doniesień dziennikarskich widać, że dotychczas nie przyniosła jeszcze tych sum, jakie sobie obiecywano. Z wyjątkiem jednego obrazu i kilku szkiców wszystko sprzedano za cenę bardzo umiarkowaną. Przedmioty, które zdobiły pracownię artysty, urządzone z królewskim przepychem, rozpraszają się po świecie, zwracając zaledwie część kosztów, jakie na nie wyłożono. Jako wspomnienie tych czarodziejskich pracowni pozostają tylko fotografie Angerera i katalog illustrowany, ogłoszony jeszcze przed sprzedażą.

Zdaje mi się, że umeblowanie pracowni wraz ze znajdującymi się w niej obrazami, oceniono na 250.000 fl.; tymczasem nie sądzę, żeby zebrano więcej nad 150.000 guld. Prawda, że Makart, który był pierwszorzędnym dekoratorem, umiał najbłahszy przedmiot umieścić w korzystnym świetle, nadać mu wygląd, jakiegoby nie miał pozostawiony sam sobie. Nadzwyczaj bogaty zbiór kostyumów kobiecych, które artysta kazał robić dla swych modeli, z małemi wyjątkami poszedł między ludzi, za cenę niesłychanie niską. Były w tym zbiorze materye staroświeckie, rzadkie okazy tkanin wschodnich — pozakupywano je do muzeów. U Makarta wszystko było kolosalne; wielkie szafy zatłoczone najrozmaitszemi sukniemi, kostiumami fantastycznymi i t. d. W chwili, kiedy to piszemy, wszystko to już krąży po świecie, wszystko poszło w rozsypkę i po malarzu zostało tylko wspomnienie — ani śladu szkoły. Nawet jako kolorysta, Makart nie zostawia naśladowców, a co jeszcze smutniejsze do powiedzenia: jego obrazy nie wrożą wcale tego, żeby przekazać mogły potomności zachwycającą tę muzykę barw, ten czarowny urok jego pędzla. Malowane bez myśli o jutrze, łuszczą się już i czernieją.

Tym wszystkim, którzy zajmują się sztuką i którzy z obowiązku studyować ją muszą w książkach (nie każdy może być w Koryncie!), mogą zalecić jako doskonałe wtajemniczającą w malarstwo hollenderskie, książkę p. Emila de Montégut: *Les-Pays-Bas, impressions de voyage et d'art* (Paris, Hachette, 392, pp. 8-vo z ilustracyami). Książka to dawniejsza, ale dziś jeszcze dużej

wartosci. E. Montégut jest człowiekiem poważnym, prawdziwym znawcą, lubi rozkrawać rzeczy i dobierać się do ich głębi. Nie poprzestaje na suchym rejestrowaniu obrazów, które widział, nie wdaje się w arbitralne a doraźne sądy, ale rozbiera, tłumaczy, odważa i ostatecznie zawsze daje nam jakieś nowe spostrzeżenie, a niekiedy nawet zdanie głęboko rozumne. Pierwsza część dzieła poświęcona jest Belgii, druga Holandyi. Widoki zewnętrznej natury, krajobrazy, które Montégut zarysowuje swym piórem, są bardzo wdzięczne a prawdziwe.

Mówiąc o Belgii i jej malarzach, oczywiście, stawia na czele ich pana i mistrza, Rubensa, którego wielbi aż do zachwytu. Obok niego, ale w rolach niezmiernie skromnych, trzymają się: Jordaens, Jan Steen, Gaspard Crayer, którego autor może zanadto nisko umieścić. Sąd o Wiertzu, sławnym fantascie w malarstwie, jest bardzo sprawiedliwy.

W porównaniu z Belgią, Holandya doznaje większych względów, najpierw w samym obrazie kraju i ludzi, a potem przez wybór artystów i staranność, z jaką autor tłumaczy nam ich sztukę. Zaczynając od Alberta Cuypa, Pottera, Ruysdaëla, spotykamy głównych mistrzów z Rembrandtem, wступujemy do głównych ognisk życia hollenderskiego, do Dordrechtu, Rotterdamu, Hagi, Leydy, Harlemu, Utrechtu—zaglądamy nawet do Geldryi. Trzeba to czytać, jak nam Montégut tłumaczy Pottera i jego krowy, Rembrandta, jego realizm i czarodziejstwo jego światła, wreszcie—Ruysdaëla. Wszyscy ci artyści, ilu ich jest, są dziećmi swej ziemi rodzinnej, wytworami wszystkich sił, które w niej działały, owocami cywilizacji, która przez nich się objawiła. Przyznać trzeba, że po przeczytaniu studyów Montégut'a lepiej się rozumie i rozgrzesza się malarzy flamandzkich i hollenderskich. Wszystko usprawiedliwia się wpływem otoczenia, atmosferą, żywiołami, wnioskami w istotę i tworzącymi w niej z nieprzepartą siłą—tu Rembrandta, tam Ruysdaëla, a owdzie znowu Gerarda Dowa... wszystkich tych Hollendrów. Cała rzecz w tem, że człowiek obdarzony talentem, większym czy mniejszym, nadaje temu objawowi sił ukrytych więcej lub mniej siły i blasku piękna—według miary swego uzdolnienia. Ta jest przyczyna, że nadmiar potęgi w Rubensie staje się harmonijnym spokojem i ciszą w Crayerze.

Do rzędu najbardziej zajmujących studyów nad historią sztuki należy badanie początków sztuki chrześcijańskiej w Katakumbach. Tym wszystkim, których ten przedmiot pociąga ku sobie i którzy chcieliby dowiedzieć się, jakie postępy zrobiono od czasu pierwszych wykopalisk p. Jana Rossi, założyciela Muzeum Laterańskiego, zalecamy żywo „Studia nad pierwotnymi pomnikami malarstwa chrześcijańskiego we Włoszech oraz mieszaniny archeologiczne, przez p. Ludwika Leforta“ (Paris, Plon pp. 284, 7-vo). Nowe poszukiwania w Rzymie i jego obwodzie doprowadziły do odkryć bardzo ważnych dla sztuki.

Sama chronologia malowideł w Katakumbach rzymskich i neapolitańskich, nadaje dziełu p. Leforta wielką wartość. Minęło już dwadzieścia kilka lat od czasu, kiedyśmy mieli szczęście zwiedzić Katakumby Neapolu. Znajdowały się one w straszliwym zaniedbaniu i według powszechnej opinii wypadało je nawet uważać za znacznie późniejsze od rzymskich. Tymczasem poważne dochodzenie przekonało, że i tutaj również malarstwo dekoracyjne, którego ślady jeszcze się dochowały, sięga do III wieku. W Rzymie malowidła najdawniejsze, w wielkiej galerii przy wejściu do cmentarza Domitilli, według p. Rossi, pochodzą z końca I-go lub początku II-go wieku. Najpierwszy ze wszystkich wystąpił Daniel między dwoma lwami; Dzieciatko Jezus w kolebce z łbami zwierząt (Złobek) zjawiało się dopiero w IV wieku — i okazy tego malowidła są bardzo rzadkie.

Jest w przeszłości jedna postać ładna, postać historyczna, należąca do nas, i prawie już zapomniana, a nawet nieuznana należycie. Jest nią ta ukochana przez dobrego króla Stanisława „Maruchna“, królowa Francyi, małżonka Ludwika XV. Zbierając materiały do swego cyklu

powieści historycznych, który ukończył postanowiłem i muszę, i wygrzebując z przeszłości postać Dobrego Króla, poraz pierwszy przyjrzałem się bliżej „Królowej Francyi“; zajęła mnie żywo ta święta kobieta, rywalka pani de Pompadour. Ona sama, cała jej rodzina, jej córki, Delfin, jego żona, dwór, dworacy, intrygi, i wpośród tego wszystkiego król śmiertelnie znudzony, fantastyk, rozgrymaszony dzieciak, z tajemniczą swą polityką i niegodnymi miłostkami; a poza dworem i królem Encyklopedyści, Janseniści, Jezuiti przesładowani wówczas.—wszystko to razem wzięte silnie mnie pociągnęło ku sobie.

Zacząłem badać daną epokę, ludzi i wydarzenia, w przekonaniu, że będę mógł umieścić studyum moje w moim cyklu powieściowym, będącym już na ukończeniu. Ale w cyklu tym nie znalazło się już miejsca dla *Męczennicy na tronie* i królowa Leszczyńska ukaże się kiedyś oddzielnie. Wypadło dobrze zbadać Francją pod Ludwikiem XV. Otóż pomimo prac bardzo licznych o tej epoce, stanowiących dziś już całą bibliotekę, najnowsze wydawnictwa dotyczące kardynała de Bernis dowodzą, że nie wszystko jeszcze z ukrycia na jaw wyszło. Już *Le Secret du roi* Brogliego, wydany kilka lat temu (1879), przyniósł dowód, że po *Voltaire*że trzeba przerobić to, co przez niego było powierzchownie tylko traktowane.

Gdyby kto umyślnie szukał uderzającej przeciwstawności, zdolnej zająć i przywiązać do siebie, gdyby chciał umyślnie taką przeciwstawność wywołać,—nie zdołałby znaleźć nic żywszego, nic wnioskowskiego nad widok tej królowej, pobożnej, całej zatopionej w Bogu, słodkiej, dobrej, uśmiechnionej, a żyjącej w mrowisku dworu najbardziej zepsutego na świecie. Marya przypomina męczennicę chrześcijańską, rzuconą na pastwę dzikim bestyom w cyrku. A taka jest siła tej cnoty, że podbija nawet człowieka, który nie szanował niczego, i człowiek ten musiał schylić przed nią czoło, kocha ją, jak on kochać był zdolnym i pomimo wszystkich tych wietrznic, które królowały na rozpustnych biesiadach w Parc aux cerfs, ona rzeczywista królowa Francyi odbiera zawsze należny sobie szacunek, jest kochana i umie utrzymać się bez najlżejszej skazy w ziejącej paszczy wszystkich tych niebezpieczeństw. Do śmierci nie odstąpił jej nigdy spokój, dziwna pogoda charakteru.

Studuując życie tej kobiety, której los przeznaczył wyższe stanowisko, chciałoby się niemal zawołać „To cud!“ Wychowana skromnie, w domu, w którym panował patryarchalny obyczaj polski, ona, nieznająca ani Francyi, ani tego ośrodka, w którym żyć ma, ona, bezbronna, sama jedna, z książką do nabożeństwa i różańcem swoim—wydaje się gotową ofiarą dla tego świata naszpikowanego niegodziwością i intrygami. Nic z tego! Cierpi z uśmiechem na ustach, chętnie ulega niewinnym kaprysom męża, stara się nie wiedzieć o tem, czegoby nie mogło tolerować; i zwycięstwo ostatecznie przy niej zostaje. Odzyskuje wreszcie córki, które jej wydarto dla edukowania ich w klasztorze, syn jej staje się sprzymierzeńcem w walce, i gdy Pompadour i inne gorączkowo miotają się na wszystkie strony, aby się utrzymać na swych pozycjach, ona, ta królowa Francyi, a córa Króla Polski, wyglądająca tak, jakby jej nic nie obchodziło, prócz zbawienia duszy własnej i swoich—stoi niewzruszona aż do końca. Jest to prawdziwie żona-chrześcijanka w najwznioślejszym znaczeniu tego wyrazu. Królowa ze swemi dziećmi, z mężem w środku obrazu stanowi główną jego piękność; ale jakież to tło, co za akcesorya, co za otoczenie!

Cała ta epoka, która przygotowała wielką katastrofę z potokami krwi, cały ten świat, który sobie powtarzał: *Après moi le déluge*, jakby przeczuwał ów potop krwawy, wszystkie żywioły, które miały wybuchnąć pod Ludwikiem XVI dla sprawienia przewrotu w całym kraju,—wszystko to już jest za Maryi Leszczyńskiej; Encyklopedyści ze swoim przewodzcą i mistrzem Voltaire'm, dworakiem usłużnym pani de Pompadour, Gallikanie z kardynałem de Bernis, Janseniści, ukrywający się przed wzrokiem ludzkim i przybierający maski; upadek Jezuitów, król ze swoją dwulicową polityką,—a przy tem wszystkim cały

ten świat lekki, nietroszczący się o nic, biesiadujący, śpiewający, wiecznie w pojedynkach, i w coraz-to nowej ruinie majątkowej, świat ów grzęznący w bagnisku, wyrzucający oknami pieśniadze i honor: oto tło obrazu.

Można, zaprawdę, zapalić się dla takiego przedmiotu, zwłaszcza, gdy męczennica jest rodaczką, która nigdy nie przestała modlić się popolsku i odczytywać pobożnych rad swego ojca. Męczennictwo trwa lata całe. Potrzeba siły ducha nadzwyczajnej, aby je do końca wytrzymać, nie tracąc ani na chwilę słodyczy serca i tego zadziwiającego anielskiego spokoju. Może się myśleć, ale zdaje mi się, żeśmy zbyt prędko zapomnieli o tej pięknej postaci historycznej, która przecież z prawa do nas należy, gdyż na tronie Francyi Marya Leszczyńska nie przestała nigdy czuć się dziećciem Dobrego Króla. Moralność, przekonania religijne, odbijają się w tej heroicznej kobiecie, zawsze tak prostej, tak skromnej, że kiedy odbywała swe przechadzki, brano ją za ledwie za... jedną z osób należących do służby zamkowej. Wobec tych wszystkich udreżeń, znoszonych bez skargi, potrzeba czytać jej listy, aby się przekonać, jaki spokój, jaki niemal wesoły humor starała się zawsze zachować, ofiarując wszystko Bogu.

Obok niej charakter niestały jej męża, miotany ustawicznie, nienasycony, dręczony nudą, niekiedy wpadający w skrucę, na nowo potem wybuchający, jest prawdziwą zagadką. Możliwe prawie powiedzieć, że Ludwik XV niczego innego w życiu nie szukał, prócz zabawy, i dla zabawy wszystko poświęcał. Po Pompadour, która miała przynajmniej dar zwracania jego myśli na rzeczy nieco poważniejsze, przyszła Du Barry, a potem straszny opuszczony skon i pogrzeb prawdziwego nędzarza.

Şczęściem, święta królowa nie żyła już wtedy. Do galerii kobiet naszych chciałbym wywindykować Maryą Leszczyńską i postaram się o to, aby ją lepiej poznano.

MIŁOŚĆ STEFANA GARCZYŃSKIEGO

Na podstawie nieznanich pism poety

podał do druku

Józef Hieronim Rychter.

(Dokończenie).

W czterech porach dnia widzimy, że poeta wątpi już silnie o powodzeniu swego uczucia a słowa:

„Czuje, że kochać ciebie bez nadziei muszę“.

dają tego dowód. Mimo to, chociaż nawet tracił nadzieję doprowadzenia swojej miłości do realnego rezultatu, to przecież wierzył jeszcze, że niezupełnie odwróciło się od niego serce ukochanej:

Do Aliny.

Tak ode mnie uciekasz, tak ode mnie stronisz,
Ze obcy czułość serca odmówić ci może!
Ja znam ciebie dokładniej—znam kolce i róże,
Wiem jak skrycie mi często smutną łzę uronisz!

Widziałem ciebie nieraz w przyjaciółek gronie,
Widziałem jak twarz piękną zmuszasz do uciechy;
Próżno wzrok twój miłosny w fali zabaw tonie:
Mnie on zwieść nie potrafi—płaczą twoje śmiechy!

Bo do róży grobowej podobne rozmianie,
Obcym zapach przyjemny, obcym rozkosz sprawia;

Ja w niem widzę mdlejącej nadziei rozstanie:
Róża pięknej przeszłości—kolce mi zostawia!...

Przed pożegnaniem się, może i na wieki, z uko-
chaną Aliną, skreślił poeta następujący wiersz:

Do Aliny.

Alino! niechaj obcy twą się ręką cieszy,
Niechaj w złoto przybrany do ołtarza śpieszy,
Niech wśród modłów posępnych, wśród śpiewal-
[nych płaczy,
W przybytku Odwiecznego, ciebie swoją znaczył!

Niechaj ciało posiędzie... duszy nie dostanie!
Tę myśl odziedziczyła— a harmonii tony
Nikt rozerwać nie zdoła, boć i śmierci łkanie
W akkordach pogrzebowych czczą posępne dzwony!

Bądź zdrowa!

Już smętnie wiatr zaszumił, już koń na mnie czeka...
Opuścić owe strony ulubione muszę,
Kędy miłość zakłęła wiecznie moją duszę,
Gdzie pamięć moją dotąd Alina zarzeka...

Tu słońce milej wschodzi, a leśne śpiewaki
Miłości tylko nuca; tu każde ustronie
O nas pomówić może, nosi szczęścia znaki;
Tu i dzisiaj ostatnią moją łzę uronię!

Tuśmy czas wzdychaniami często odmierzali...
Tu tak prędko, tak szybko spływały godziny...
Po tych łąkach chodziłem... tameśmy igrali...
Tu znowu u nóg mojej leżałem Aliny!

Jak sen, wszystko już przeszedł jak ów sen szczę-
[śliwy,

Który z promyków gwiazdy ulepił marzenia,
Przed myślą odurzoną przeprowadza dziwy,
Aby potem dać uczuć płaskość obudzenia!!

Jakżesz dzisiaj odmienną wszystko postać bierze!
Wiatr strąca smutnym jękiem dawną drzew ozdobę,
Niebo w chmurnej postaci zawdzięcza żalobę,
A ja po raz ostatni u nóg twoich leżę....

Bądź zdrowa!—Oto wszystko co powiedzieć mogę.

Czy wspomnisz kiedy o mnie?...
O tym, który tak mocno, tak cię kocha szczerze!

Kobiety!—wy zazwyczaj motylkiem jesteście,
A on i pączki lubi, i z kwiateczków bierze,
Wasza wierność, jak dymek ulata z słowami,
Może już jutro nasze zapomnisz kochane...
Igracie jak z zabawką, z miłością i z nami,
Czyż nie tak będzie ze mną? inaczej się stanie?

Alino, powiedz słówko!... Nic-że nie usłyszę?
Wyroku odkupienia z ust twych oczekuje.
Jeszcze zegar nie wybił—każdą chwilę czuje—
Powiedz tylko, że kochasz, a żal mój uciszę.

Ale próżne błagania... ona płacze, wzdycha;
Czasem tylko jej oko w pięknych łezkach błysnie...
Próżno serce na słówko pożądane czycha,
Łkanie tylko przyjmuje, gdy żal pierś zachłyśnie!

Już czas nagli. Opuścić trzeba ją—na wieki!
Już ostatnią łzę moje westchnęły powieki.

Łkać więcej już nie mogę—siły moje giną—
Bełgotnął język tylko: bądź zdrowa, Alino!

Bądź zdrowa!—wszystkie pulsa razem powtórzyły,
Bądź zdrowa!—nowym głosem śpiewa śmierć wy-
[bladła,

Ona jedna mej duszy prawą chęć odgadła—
I w omdleniu znużone zamierają siły.

Upadłem jak świętoszek przy progu ołtarza!
Nie pomnę nawet więcej, kiedy się obudził;
Wiem tylko, że myśl chora dotąd dziwy stwarza,
I żem pośród umarłych resztę życia żmudził.

Świat, który sobie stworzył poeta potężnym
uczuciem miłości, znikł nazawsze.

Życie odtąd dopiero zaczyna być dla niego je-
dnym pasmem cierpienia. I w tych chwilach kie-
dy żył tylko wspomnieniami o swojej Alinie, sta-
nęła mu w drodze jeszcze jedna kobieta! Kochać
jej nie mógł, lecz miała ona widocznie prawo do
jego miłości.

Do Laury.

Czego stoisz zdumiona? wzniosłaś oczy twoje?
Czyż nowe, w serce biedne, chcesz lać niepokoje?
Ah, uciekaj odemnie—bo takie spojrzenie
Bardziej do duszy mówi, niż najczulsze pienie...
A ja duszę mam wyschłą, serce przepalone,
Dla nieszczęść zachowane, do nieszczęść stworzone!

Był czas, w którym od dzikich namiętności wolny
Mogłem uczuć twe bóstwo, byłem kochać zdolny;
Dzisiaj, jak w owej nocy, której grozi burza,
Kiedy księżyc światelkiem postaci odbija,
Cień zwodzająca z promieniem jego srebrnym mija,
Gdy się ten w otchłań chmury deszczowej zanurza
Dziś wszystko dla mnie cienia, i choć serce bije,
Przeszłością tylko wzdycham—dla świata nie żyję!

„Jaki wieszcz, taki bardon“: wygrywać przeto
będzie smutne rzeczy, smutniejsze „nad kochan-
ków szczęśliwych rozstanie“

Nad modły pogrzebowe, w akkord zbite dzwona,
Albo nad śpiew posępny łabędzia, gdy kona....

Jeśli te pienia Alinę zajmą i wzruszą:

Moją będziesz! bo cząstką jesteś mojej duszy,
Wtenczas pójdziemy razem: na odludnej skale
Płakać, wzdychać popołu—razem nucić żale....

Widać, że na bolenie razem z poetą nie zgodzi-
ła się Laura, wskutek czego i „związek ducho-
wy“ między nimi zerwać się musiał.

Osamotniony, niemając istoty, którąby z nim
współczuła, trawiony nieustającym cierpieniem,
upadał poeta coraz bardziej na zdrowiu, przecz-
uwając blizki swój zgon.

Jedyną pociechą był mu dozgonny przyjaciel,
Adam Mickiewicz.

Nieraz, kiedy siląc się pisał wiersze i przysyłał
je Mickiewiczowi, upominał go mistrz, by szano-
wał zdrowie i mniej pisał. Przytaczam tu ustęp
z listu Mickiewicza w tym przedmiocie, który
zarazem da nam poznać stosunek przyjacielski
obu poetów:

„Paryż w Kwietniu 1833 r.

„Kochany Stefku! Odebrałem twój hymn, któ-
ry należy do najpiękniejszych naszej literatury
tworów. Kochałbym go jeszcze więcej, gdyby ty-
le tobie nie był zaszkodził.

„Zmiluj się już nie pisz, pókiś chory. Ucis-
w sobie człowieka, a pielęgnuj zwierzątko; reper-
ruj okręt, a potem kapitan zacznie robić obser-
wacje i nabijać harmaty!“

Powtarzał tę przestrożę Mickiewicz jeszcze
parę razy, lecz nasz poeta, mimo to, nie przesta-
wał tworzyć aż do ostatniej chwili życia.

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów, w Kwietniu 1885 r.

Wystawa Sztuk Pięknych na dochód wdowy po ś. p. Redlichu. —
Nowe książeczki wydawnictwa ludowego. — Herbaciarnia lu-
dowa. — Karol Wild, księgarz.

(Dokończenie).

Pomiędzy akwarellami Kossaka zwraca szcze-
gólniejszą uwagę obraz dużego rozmiaru, przed-
stawiający zmarłego niedawno Juliusza hr. Dzie-
duszyckiego, konno polującego z hartami na po-
lach jaryczowieckich. Obraz ten zdjęty z natury,
ma swoją tradycją, ciekawą zwłaszcza dla hippo-
logów, zajmujących się dziejami chowu koni
arabskich w Galicyi. Mało zapewne kto z moich
czytelników, zwłaszcza poza Galicyą, wie kto
był Juliusz hr. Dzieduszycki, którego tutaj do-
skonale schwycony portret znajdujemy na obrazie
Kossaka. Przed laty pięćdziesięciu był to mło-
dzień celujący pomiędzy arystokratyczną mło-
dzieżą lwowską wszystkimi zaletami ciała i umy-
słu. Przystojny, silny, jak atleta, żelaznego
zdrowia, pełen, że tak powiem, rycerskiej natury,
pociągającej do przygód i życia excentrycznego,
lubownik zapalony koni, marzył o losach Wacła-
wa Rzewuskiego, o puszczach zamieszkałych
przez koczujące Beduinów pokolenia, o przygo-
dach i obrazach, jakby zaczerpniętych z Tysiąca
i jednej Nocy, którym się chciał zbliżyć przy-
rzed i własną urzeczywistnić osobą. Odziedzi-
czywszy po śmierci ojca duży majątek, mianowicie
Zbaraż, Klucz Jaryczowiecki i 50.000, czyli jak
obliczano na miarę *pół korca* dukatów złotem; nie
miał hr. Juliusz nic pilniejszego, jak spełnić ma-
rzenia młodości i wybrać się w podróż na wschód,
po oryginalne konie arabskie. Stado Jaryczowiec-
kie służyło już i przedtem znakomitemi końmi po
oryginalnych arabach, ale teraz dopiero: skutkiem
podjętych kosztów i osobistych trudów młodego
właściciela, miało się podnieść i uszlachetnić
w stopniu przedtem niebywałym. Hr. Juliusz dotarł
wszędzie, gdzie tylko miał nadzieję dostać koni
posiadających sławę na Wschodzie. Przebrany
poarabsku, z małą swą karawaną zaznajomił się
z wszystkimi niemal główniejszymi pokoleniami
Beduinów, zwiedził Egipt, Saharę, Syryę, Ara-
bię Skalistą, dotarł do granic Persyi. Parę lat
trwała ta podróż awanturczo-rycerska, o której
od czasu do czasu dochodziły wieści w listach pi-
sanych do brata Władysława, zawierających się
w kilku zaledwo słowach, jak np. „Władziu! żyję.
Bagdad.“ „Jestem w Damaszku. Bądź zdrow“
albo „Mam kłaczę. Jul.“ Takie lakoniczne wzmian-
ki otrzymywał co kilka miesięcy z dalekiego
wschodu brat Władysław, nim się doczekał po-
wrotu podróżnika, który przyprowadził z sobą
transport koni takich, jakich przedtem nie widywa-
no w Galicyi. Stado Jaryczowieckie wnet rozgło-
snej nabrało sławy, idąc o lepsze ze sławuckiem.
Jego właściciel żył i mieszkał w stajni, otoczony
koniami, przepędzając wpośród nich dni całe, lub
polując z hartami po rozległych stepach jaryczo-
wieckich. Jedną z takich chwil przedstawia
obraz Kossaka. Widzimy tu hr. Juliusza Dzie-
duszyckiego, z dziwnie atrafionem podobieństwem,
w ulubionym powszednim stroju, w kożusku,
w czapce baraniej, z fajką na długim cybuchu, na
prześlicznym oryginalnym arabezyku; obok konia
para pięknych hartów buja po stepie. Towarzy-
szy hrabiemu konno sam artysta, który młodzień-
cem często przebywał w Jaryczowicach, tutaj za
pobudką hr. Dzieduszyckiego studyował i malo-
wał konie, a mając tak piękne wzory, nabrał
smaku do tego rodzaju malarstwa, które tak wy-
soko posunął. Opodal na tymże obrazie widać
jeszcze dwóch dojeżdżaczy poarabsku, gdyż

w ten sposób lubiał przebierać swą karawanę myśliwską Dzieduszycki, rozmiłowany we wspomnieniach Wschodu. Jakże się zmieniły rzeczy od onej chwili przedstawionej na obrazie Kossaka! Po stadzie jaryczowieckim niema już dziś ani śladu. Hr. Juliusz, ów niegdyś Farys młodzieńczy, obcy światu i zapomniany, spędziwszy boleśnie resztki schorzałego żywota, umarł niedawno we Lwowie. Przepyszny obraz Kossaka, należący do najlepszych z początkowej epoki jego talentu, pozostał świetną ilustracją czasów Jaryczowieckich.

Opuszczając wystawę, mamy jeszcze do obejrzenia dział rzeźby, będący świadectwem nietylko pracowitości i talentu młodych naszych rzeźbiarzy, mianowicie miejscowych, ale znacznego postępu. Z przyjemnością prawdziwie artystyczną przypatrujemy się Baracze pięknie wymodelowanemu popiersiu naturalnej wielkości z *terra coty*, księdza Nowakowskiego, opata Żółkiewskiego, który z wielkim oddaniem tu jest podobieństwem: jak podobnież tego artysty medalion galwanoplastyczny z popiersiem s. p. Henr. Szmitta, historyka. Śliczny jest biust młodzieńca, zdjęty z projektu na pomnik Mickiewicza. Głowa piękna, ze wzrokiem wzniesionym w górę, zda się opromieniona natchnieniem.

Najmłodszy z tutejszych artystów, p. Tadeusz Błotnicki, dał na wystawę obecną kilka dzieł prawdziwej wartości, pomiędzy którymi odznacza się na pierwszy rzut oka, wiernem, uderzającym podobieństwem popiersie z suszonej gliny, znanego humorysty, autora „Kłopotów starego komentanta“. Obok kilku medalionów z *terra coty* zasługują też na szczególniejszą uwagę maleńki biustek Savonaroli, kopiowany z Bastianiniego. Bełtowski wystawił wybornie modelowany biust Darwina, naturalnej wielkości, także z *terra coty*.

Nakoniec nie możemy pominąć ślicznego i bardzo starannego malowidła arabeskowego, na okładkę do albumu panny Gostyńskiej. Jest to jedna z najznakomitszych uczennic tutejszej szkoły rysunków muzeum przemysłowego, dzisiaj skończona już artystka, której prace odznaczały się w wydawanych przez dyrekcję muzeum „Wzrachach przemysłu domowego“. Obecne malowidło p. Gostyńskiej odznacza się pięknnością rysunku i barw harmonią, a dotego tak starannem i artystycznym wykonaniem, iż zdaje się raczej inkrustacją, niżeli malowidłem.

Tutejsze wydawnictwo ludowe, spółzawodniczące z „Macierzą“, w wytkniętym sobie celu pusiło w obieg znów parę książek, z których wiadać, że zamierza rozszerzyć pierwotny zakres wydawnictwa dla ludu wiejskiego, którym się dotąd przeważnie ograniczało. Najnowszy tomik, noszący tytuł: „Jak to przyjsie do majątku?“ przeznaczony już jest dla ludności miejskiej, oddanej rzemiosłom. Jest to istotnie „złota książeczka dla rzemieślników“, i można tylko z najwyższem uznaniem powitać to rozszerzenie ram wydawnictwa, ten nowy požądany jego kierunek. Ludność wiejska, jak miejska, potrzebuje u nas zarówno oświaty, umoralnienia, praktycznych wskazywek, posiada właściwe sobie przywary, przeciw którym walczyć, które usuwać należy. Obecna książeczka wykazuje w przystępnej powiastkowej formie, przyczyny upadku rękodzielnictwa u nas, z powodu których nie jest ono zdolne wytrzymać spółzawodnictwa z zagranicznym i zapewnić sobie przyzwoitego dobrobytu. Przyczynami temi są: po pierwsze, brak nauki, to jest brak należytej znajomości rzemiosła, aby wyrób był dobry i stosunkowo tani; następnie niedbałość i lenistwo, niechętnie imanie się pracy; nakoniec nieporadność samopas chodząca, skutkiem której rzemieślnik nasz, zniewolony drogo opłacać materiał, i to podejrzanej wartości, dostarcza publiczności wyrobu złego i drogiego, przez co odstręcza od siebie i staje się powodem własnego niepowodzenia.

Z niniejszej książeczki dowie się czem są spółki rękodzielnicze, zawiązywane w celu prowadzenia i zapewniania sobie po cenie przystępnej dobrych materiałów, wprost ztamtąd, gdzie się one wyrabiają; dowie się, jak wielką korzyść spółki takie przynoszą i jakie są sposoby za-

wiązywania i wprowadzania ich w życie. W Galicyi kilka już tego rodzaju spółek zawiązano ostatnimi czasy; mianowicie weszły w życie spółki tkackie w okolicach podgórskich, we Lwowie spółka krawców i t. p.

Wdzięczny obrazek zacnej i pracowitej dziewczyny wiejskiej zawiera druga, równocześnie wydana, książeczka, pod tytułem: „Dobra córka“ czyli „Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże“. Widzimy tu, czem jest rządność i pracowitość w życiu wieśniaczem. Biedne, osierocone po stracie matki dziewczę, mające ojca pijaka i niedołęę, ima się gospodarstwa, zaprowadza ład w chacie, pracowitością przysparza dobytka i nakoniec zapewnia sobie pomyślną przyszłość, zjednawszy swą pracowitością, zapobiegliwością i wzorowem prowadzeniem się miłość u młodego właścianina. syna zamożnych rodziców, który się z nią żeni, przewyciężywszy rozmaite przeszkody. Sympatycznie nakreślona postać poczciwej Marysi przyciąga czytelnika i przekonywa, że zalety duszy wyżej cenić należy od majątku, który ich zastąpić nie zdoła.

Trzecią nakoniec książeczką wydaną w ubiegłym kwartale przez pomienione wydawnictwo, jest „Wybór poezyi Jana Kochanowskiego“, zawierający te jego pieśni lub wyjątki z nich, które mogą być przystępne i zrozumiałe dla ludu, a raczej dla średnich warstw inteligencji wiejskiej w ogóle. Jest tu najpierw kilkanaście psalmów, a następnie wiersze rozmaite. Dobry to pomysł rozpowszechnienia tym sposobem przynajmniej wyjątków poezyi śpiewaka z Czarnolasu w tych kołach, dla których bez tego pozostały on. a może nazawsze, znanym zaledwo tylko z imienia.

Z końcem Marca, to jest z nadejściem cieplejszej, wiosennej pory, zamknięto tutejszą herbaciarnię ludową, zakład, który się okazał bardzo pożytecznym. Według obliczenia ogłoszonego w sprawozdaniu rozdano w nim w ciągu zimy 161,000 filiżanek herbaty z bułkami. Jakaż to ulga, jakie dobrodziejstwo, zwłaszcza dla uboższej uczącej się młodzieży, utrzymującej się ze szczupłego dochodu z dawanych lekcji—z dochodu wystarczającego zaledwo na zapłacenie skąpego obiadu! Obecnie poruszono już projekt założenia na przyszłą zimę większej liczby takich herbaciarni ludowych, mianowicie na każdym przedmieściu, w pobliżu szkół.

Od niejakiego czasu każdy list mój zawiera wzmiankę o pogrzebie. Strata po stracie. Rok obecny obfitszy w nie od dawniejszych. W Marcu zmarł Karol Wild, najstarszy, i śmiało rzecz można, najzasłużeńszy z tutejszych księgarzy, których całe pokolenie on wykształcił. Wszyscy, oprócz Bartoszewicza, u niego odbywali szkołę praktyki księgarskiej, pod jego okiem pierwsze w zawodzie swym stawiali kroki. Wild nie był to księgarz zwykłej miary; posiadał w wysokim stopniu znajomość swego zawodu i wykształcenie literackie i bibliograficzne. Przez długi szereg lat rozwinął rozległą czynność wydawniczą i był nakładcą najznakomitszych swego czasu pisarzy, jak: Szajnochy, Szujskiego i wielu innych. Skończył pracowity i ciernisty żywot, przynębiony nieszczęściami, z których najboleśniejszym ciosem był upadek stuletniej prawie firmy. Księgarze tutejsi uchwalili postawienie mu własnym kosztem pomnika i wydanie obszernego zyciorysu, dla bezpłatnego rozdania go wszystkim księgarzom polskim. Będzie to cenna karta do dziejów ruchu wydawniczego w Galicyi w ostatnim trzydziestoleciu.

Wład. Zawadzki.

RUCH MUZYCZNY.

Z wielu koncertów, które miały miejsce w dwóch ostatnich miesiącach, najbardziej interesującym był niezaprzeczenie koncert Ignacego Paderewskiego. Co do innych, pomimo że w nich głosem

sławy artyści występowali, to nie mogły one budzić tyle zajęcia, albowiem można było naprzód powiedzieć, co usłyszymy, nad czem się będziemy zachwycać, lub odwrotnie, co stanowić będzie stronę ujemną tych występów. Weźmy za przykład koncerty pani Menter. Wiadoma rzecz, że jest to fortepianistka, niemająca równej sobie, lecz gra jej jest już dobrze nam znaną, repertuar również: idziemy więc dla użycia chwili rozkosznej, posłuchania tej cudnej gry, ale nie prowadzi nas tam żywe uczucie ciekawości, której zaspokojenie daje nierównie więcej wrażeń.

Pan Paderewski, występując jako kompozytor, mógł właśnie obudzić w nas tę ciekawość, jako artysta, o którym, z dawniejszych lat miłe zatrzymaliśmy wspomnienie. Wtedy już wskutek niezwykłych jego zdolności i zapалу do sztuki, z którymi niejednokrotnie się zdradzał, uważaliśmy go jako najzdolniejszego ze wszystkich naszych młodszych kompozytorów. Występ jego przekonał nas, że nie zawiedliśmy się na nim. Słuchając dzieł jego, każdy nabiera tej pewności, że twórca ich ma wielki talent. Jest to ogólne wrażenie, które gwałtem się narzuca, do tego stopnia, że nawet i niechętni, zazdrośni, nieprzyjaciele nawet, muszą mu to przyznać. Jak jednak ten talent się rozwijał w dziełach jego, pod wpływem nauki, jest to już jego wyłączną zasługą, i nad tem chcemy się też zastanowić.

Paderewski, oile z dzieł jego sądzić możemy, przedstawia się jako natura bujna, niespokojna, rzucająca się nagle w różnych kierunkach, pod wrażeniem chwili i uczuć, które bezwiednie prawie kierują nim—słowem: jest to materiał cenny, lecz niebezpieczny. Z takim usposobieniem jedynym rzutem można wykroczyć poza granice racjonalnego kierunku w sztuce i wejść w manierę, gdy drugim znów, otworzyć sobie nowe drogi oryginalne a piękne. Potrzeba więc, by prócz nauki ścisłej, specjalnej, na strażę odstateczności stał wyrobiony gust, poczucie piękna.

Najczęściej ludzie wielkich zdolności stawiali pierwsze swe kroki ostrożnie, z pewnem umiarkowaniem i naiwnością, a zawsze z poszanowaniem tego, co było już, a było dobrem. Gdy zaś rozwinięły swe skrzydła do śmiałego lotu, wiedzieli dokąd dążą, gdyż nosili w swej duszy poczucie piękna. Pomimo tego, niektórym z tych mistrzów surowej szkoły nie udało się ustrzedz od popadnięcia w manierę, przy końcu swej kariery twórczej. Cóż więc czeka tych bez bojaźni, którzy nie mają żadnych skrupułów, ani żadnego wędzidła na okiełznanie zapędów młodzieńczych sił fantazyi, depczącej wrzekomą ciasnotę i dawne umiarkowanie? Szczerze przyznamy się, że ogarnia nas małoduszny strach na myśl, gdzie to zajdą ci, co zaczynają od tego, na czem wielcy w swej genialności pod względem swobody wypowiedzenia swych myśli kończyli. Tak jednak większość młodej generacji postępuje.

Paderewski pod pewnym tylko względem należy do tych niepoohamowanych w owej śmiałości, mianowicie w nieposzanowaniu formy. Dzieła jego dają nam już próbkę tego. Sonata skrzypcowa należy do tych, które musiały powstać z chaosu pomysłów bezplanowych, pozostały też one nieproporcjonalnymi względem siebie; to rozpychają ramy, w które miały być ujęte, to znów nie zapełniają ich wcale. Na co więc było krępować się formą dawno skończoną, i nie uczynić jej za- dość?! lepiej było stworzyć nowe jej przeobrażenie, wzbogacając o jedną więcej dotąd już znane.

W części pierwszej sonaty zauważyliśmy zły stosunek tematyczny. Temat pierwszy jako motto sonaty jest za słaby, niewyraźny, ginie nieodszukany w obec występującego z widoczną przewagą, a oryginalną jaskrawością tematu drugiego, który też całą uwagę słuchacza pociąga ku sobie. Jest to wada budowy, której złe następstwa są prowadzone przez całą tę część, czyniąc ją niekształtną. Część druga i trzecia, wzięte odrębnie, są bardzo piękne, nie posiadają jednak charakterystyki żądanej w Sonacie, do tego stopnia, że jeśli chcemy je uważać jako jej części składowe, to znów całość ta wyda nam się nieformalną. Poczęści przyczyną do tego będzie trymanie w zbyt przybliżonem tempie szybkim,

wszystkich trzech części sonaty. Wiemy, że nie bez konieczności w formie sonaty, jako w dziele większych rozmiarów, wytworzyła się ta rozmaitość tempa, by właśnie całość stała się mniej nużąca; w drugiej zaś części Sonaty Paderewskiego „Allegretto grazioso“ nie znajdujemy tego pożądanego spoczynku. Nie pojmujemy dlaczego autor w szczegółach tych z umysłu odbiegał od zwykłej formy; przecież to nie stanowi oryginalności. Sam tego dowiódł w drugim swym dziele: Waryacjach i Fudze, które pod każdym względem zasługuje na miano dzieła skończonego. Znać w nim niepospolitą oryginalną twórczość, a zarazem wystudyowanie formy z gruntowną znajomością rzeczy—słowem: może stanąć obok najznakomitszych tego rodzaju utworów.

Prócz sonaty, waryacji i fugi, Paderewski wykonał i „Pieśni Majowe“, o których z okazji ukazania się ich w handlu księgarskim, nieco dawniej już pisaliśmy; to też nie będziemy powtarzać naszego zdania, uzupełnimy je tylko wzmianką, że piękne wykonanie ich przez autora uwydatniło wiele wdzięcznych ustępów w tych sympatycznych obrazkach.

„Album Tatrzzańskie“, zbiór pieśni góralskich, w opracowaniu czteroręcznym na fortepian, wykonał wraz z autorem, pan Antoni Rutkowski. W tem dziele mielibyśmy do zarzucenia to, że pieśń pierwsza brzmi za trywialnie, gdyż pozostała *in crudo* bez dostatecznego opracowania artystycznego. Słyszeliśmy również pięć pieśni, w pięknej interpretacji pani Weychertowej. Stanowiły one dział muzyki wokalne, nad którą Paderewski także z zamiłowaniem pracuje, lecz nie doszedł jeszcze do swobodnego traktowania przedmiotu.

Streszczając zdanie nasze o Paderewskim, powiemy, że jest on obdarzony istic artystyczną organizacją, ma wielkie bogactwo pomysłów, wiele poezji podtrzymanej oddźwiękami smętnej nuty ukraińskiej, która często mimowoli może przebiegać się w jego dziełach; przyznajemy, że dał dowód w fudze, gruntownej nauki teorii; tylko stawiamy zarzut, że niedość panuje nad rozkapryszoną fantazją, która prowadzi go czasem na bezdroża pomysłów muzycznych, znoszących się nawzajem.

Jako wykonawca, Paderewski okazał się dzielnym pianistą; gra jego jasna, szlachetna, pełna siły męskiej, niezmiernie miłe robi wrażenie. Sądźmy jednak, że wkrótce kompozytor weźmie przewagę nad wirtuozem.

Towarzystwo Muzyczne ma zawsze pełną salę publiczności, a, zaiste, nie łatwo mu przychodzi utrzymać swe wieczory, w szeregu interesujących koncertów, na skali coraz wyższych obecnie wzmaga artystycznych i zarazem zadowolnie gust przeciętnych melomanów. Zgodniejszych wzmianki był występ panny Zofii Siegenfeld, sumiennej fortepianistki, która wszakże nader rzadko daje się słyszeć szerszemu kołu,—szkoda, bo krępuje swą grę, nieuzasadnioną lekliwością. Ujemne całkiem wrażenie pozostawił nam pan Harthan z Odessy, traktujący naszą publiczność grą arcydyletancką; żeby więc powiedzieć prawdę dopiero na ostatnim wieczorze towarzystwa radziliśmy zatrzymać uwagę czytelnika, a to z przyczyny występu p. F. Friedentalówny, która jest niepospolitą wirtuozką. Znamy ją z lat dawniejszych, jako szlachetną wykonawczynię Beethoven'a. Ostatni swój program ułożyła p. F. umiejętnie, w celu uwydatnienia lekkości swej gry, i poetycznego nastroju. „Pieśń bez słów“ Mendelssohn'a, „Allegro“ Scarlattiego, „Rigaudou“ Raffa, szczególnie wyszły spod jej palców bardzo pięknie. Publiczność nasza jednak, rządząca się wrażeniem chwili,

przeniosła całą swą uwagę na występ panny Pospiszylówny w tym wieczorze i dość chłodnymi oklaskami przyjmowała muzykę.

Juliusz Stattler.

DROBNE LISTKI.

— **Modrzejowska w roli Adryanny Lecouvreur.** zbierała znów laury na scenie londyńskiego teatru „Lyceum“; szczególnie koniec aktu czwartego i piątego, wywołały w publiczności „wybuch rzeczywistego zapalu“, jak pisze krytyk angielskiego *Athenaeum*. Według zdania Anglika rola ta należy jednak do tych, które uwydatniają najświetniej talent Modrzejowskiej; niemniej jest to bardzo szlachetna i nawskróś oryginalna jej kreacja. Żadna ze znanych aktorek tak jej nie pojęła i nie oddała, a to pojęcie jej takie a nie inne przynosi właśnie Modrzejowskiej zaszczyt, bo różnice zasadzają się nie tyle na metodzie, ile, powiedzieć można, na osobowości artystki.— „W tych czasach, gdy to, co jeszcze kilka lat temu, byłoby uważane jako wstrętne, zdaje się być głównym przymiotem heroiny teatralnej, dla której cnota jest ostatnią z rzeczy wymagalnych. okazy namiętności tak bynajmniej nie zarzucają na siebie żadnej draperyi, jak oddanie cierpień fizycznych bywa realistycznym; Modrzejowska trzyma się granic kobiecości i piękności, idealnie pojętej. U niej Adryanna Lecouvreur to nie syrena, której ponęty są mocniejsze nad wszelką siłę oporu ze strony mężczyzny; jest to przeciwnie kobieta kochająca, namiętna, ale uczciwa kobieta, na którą sztuczne życie sceny nie wywarło żadnego widocznego wpływu, która w uniesieniu zazdrości może zapomnieć na chwilę nakazanej sobie powstrzymaności, ale nie jest zdolną do żadnego niedozwolonego czynu, przez taki kodeks moralności kobiecej, jakiemu ulega większość jej płci — do czynu wypływającego z niskich pobudek“. Czy taką lub nie, była historyczna Adryanna Lecouvreur; o to mniejsza—pisze dalej krytyk angielski. Sara Bernhard może taksamo nie odtwarza prawdziwej Adryanny przez swoje leniwe rozkoszną ponętność, przez gwałtowne przerzucanie się od dziecięcej jakoby zalotności, do namiętnych szalów, jak nie odtwarza jej Modrzejowska, przez tkliwość i kobiecość swoją. Zawsze i w każdym czasie były kobiety rozmaitych uosobień, ale żywił szlachetnej godności (worthiness), którą Modrzejowska nadaje heroinie francuzkiej komedyi, podnosi się jako przeciwstawienie ważącego się na wszystko realizmu dzisiejszej sztuki. Były też w grze naszej aktorki takie „miejsca, które porываły widzów“. Znalazły się jednak ustępy miękkie, znalazły się i ustępy błędnie pojęte, ale „całość była tkliwa, wzruszająca, której nie brakło zgoła ani piękności, ani subtelności“. Deklamacya ustępów z „Fedry“ miała w sobie najwyższą siłę uczucia i zarazem moc zachwycenia publiczności.

— **Pamiętnik Gordona z ostatnich dni jego życia,** został znalezionym i wręczonym przez angielskie ministerium wojny siostrze zmarłego, z którą brat ten kochający prowadził przez długie lata nie przerywaną korespondencyą. Jest on pisany na blankietach telegraficznych; po jednej stronie każdej karty powtarza się niezmiennie grubym, prostym drukiem, jak forma jakiejś rzeczy nieruchomo spokojnej i stałej: „Service téléphonique de l'Égypte et de Soudan“, z drugiej

plynnym, śmiałym charakterem spisana historia wypadków tragicznych. historia istoty ludzkiej w zapasach z losem pełnym grozy, niebezpieczeństwa, niepewności co do każdej godziny, która ma wybić. Pamiętnik ten pisany jest sposobem dziennika: dzień po dniu; bardzo mało gdzie znaleźć można coś przekreślonego, nigdzie oznaki wewnętrzznego popłochu, lecz przeciwnie wszędzie ręka piszącego jest tak pewna i śmiała, jak duch jego nieulegający żadnym falowaniom uczuć: niepewności, trwogi, niepokoju, na siebie egoistycznie zwracanego. Ludzie, którzy pamiętnik ten mieli w rękę, unoszą się właśnie nad wzniosłą spokojnością tego człowieka, zkądną gorącego, namiętnego nawet. Nie on, nie jego dola własna, ale dzieło przedsięwzięte wzrusza go: zrazu zapala go ono, a potem zdradzony i opuszczony przez Anglią, gdy zaczyna rozumieć całą ponurą okropność położenia, jest jeszcze pełnym energii wodzem i naczelnikiem obleżonego miasta, ale staje się z niego coraz więcej filozof chrześcijański. Po dniu najcięższych zapasów, niepewności, wążących się na szali przeznaczenia losów jego własnej osoby i ludzi, którzy go otaczają, spisuje myśli swoje z niezłomną, niezachwianą siłą ducha, kresli obraz tego, co się działo, ma jasne pojęcie tego, co się dziać może, ale rozgrzewa się się gorąco przytem jedynie, co być-by mogło, gdyby miał być w rękę środki odpowiednie. Wtedy zapal go unosi, i ten, który pamiętnik ów czytał, czyni tu uwagę, że choć pióro zdawało się wtedy palić mu w rękę, choć wyrazy płynęły widocznie jak fala wzburzona w szybko, ściśle kreślonych głoskach, nigdzie nie ma ani jednej plamy atramentu!

Umie on być spokojnym, a w okropnych już czasach, w okropnym już położeniu staje się często humorystycznym i niejednokrotnie spotykają się oryginalnie pomyślane i piórem rysowane sceny tego, co według jego wyobraźni działo się w owym czasie w Londynie,— „Touchingly droll“ wzruszające śmieszne obrazki, z których jeden naprzykład przedstawia lorda Derby i lorda Granville, rozmawiających o nim w wytwornie urządzonej, elegancko pańskim gabinecie. Są i inne równie do wcipe sceny, choć mieszczące w głębi ciężko gorzką ironią, są sceny przedstawiające Sudańczyków wśród salonów angielskich. Jest tam i Madhi w bawelnianej swej koszuli — w obcym turbanie, o którym jednak znajdują się na innym miejscu wyrazy pełne głębokich i wysokich myśli. Gordon rozumiał takiego proroka swego ludu i brzmi w pamiętniku jego żal, że mu nie zostało danem widzieć go, stanąć naprzeciw niego i patrzeć z nim sobie oko w oko. Pamiętnik jest też ubarwiony niby ilustracyami — wycinkami z gazet angielskich, w których rozprawiano o jego położeniu, lub wynurzano uczucia swe względem niego. Powklejał to w pamiętnik swój z porządną i staranną stałością. Miss Gordon otrzymała wraz z tym dziennikiem ostatni list jego, pisany w Kartumie, w którym poleca niejako ducha swego Bogu.—Jestem zupełnie szczęśliwy (quite happy) pisze, — jak Lawrence usiłowałem dokonać mojej powinności!...

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tyt.: **Sieroca dola**, przez autorke powieści *Silny duch*.

TREŚĆ. Dobry przykład, przez Maryą Ilnicką. — Czeczotka, Powieść z dawnych czasów, przez P. J. Bykowskiego. — Listy z Magdeburga XI, J. I. Kraszewskiego. — Miłość Stefana Garczyńskiego, (dokończenie), przez J. H. Rychtera. — Korespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Drobnie listki. — Nuty.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Sieroca dola**, przez autorke „Silny duch“. — Przegląd mód. — 38 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

KWIAT ZABUDKI

Muzyka P. Maszyńskiego.

p.

Pój - dę ja w dro - gę
I dam go chłop - cu

sf

hen, da - le - ko, pój - dę ja w bo - ży świat. Za sió - dmą go - rą i za
nie - szałę - sne - mu, niech mnie za - po - mni raz, A - ni on dla mnie ni ja

f

me - ka, pój - dę ja w dro - gę hen, da - le - ko, Zer - wać za - bud - ki
je - mu, iab dać się me - czyć nie - szałę - sne - mu, Mi - łość nie tą - czy

dc.

kwiat. za - bud - ki kwiat.
nas, nie tą - czy nas!

dim

DODATEK DO BŁUSZCZU.

Nr 16.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Błuszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Przeгляд mód.

Nowe materyały wiosenne u p Makowskiego (Plac teatralny). — Ogólny rodzaj fasonów kostiumów noszonych tego sezonu. — Tanie tkaniny w składzie firmy „Penkala“. — Kolory. — Perełki. — Hafty (Karmelińska 11). — Pranie sukien haftowanych. — Kapelusze ubierane szalikami i chusteczkami. — Parasole i parasoliki.

Pierwsze nowości na praktyczne kostiumy wiosenne już nadeszły do magazynu pana Makowskiego i tak, jakieśmy to w przeszłym przeglądzie powiedzieli, są to tkaniny wełniane lekkie, bo rzadkie, z pozorem grubego pakownego płótna, więc niby grube, zimowe, draperye z takiej tkaniny, nie będą się układać, jak wolały lub kaszmiry, ale za to stosownie do dzisiejszej mody, będą sztywno odstawać, szczególnie na gładkie marszczone spódniczki bardzo dobrze zastosowane. Są i drogie i tańsze — mówimy tu o francuzkach z czystej wełny. Tak zwana „étamine“, szara wełna koloru beżu — nie bojąca się ani kurzu, ani słońca, podwójnej szerokości, po rublu; dalej także tkanina „bouretté“, przerabiana w pasy i kratkę w jednym cieniu, na spódnicę materyał gładki; wszelkie pasy są nadzwyczaj modne. Tkanina wełniana

w desen ciagniony, czysto koronkowy, zwany „koronką wełnianą“, po 2 ruble 50 kop. łokieć — wszystko w kolorach drzewa różno-kolorowego — bronzowo-oliwkowy zawsze modny. Na strojniece suknie jest w e l n a w sznelowe



Nr 1. Kapeluszbastowy.

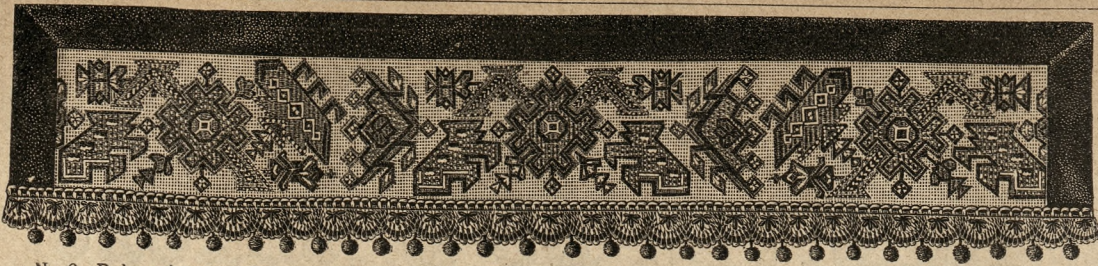
Nr 3. Kapotka z pleśni i jedwabnej materyi.

Nr 2. Kapotka koronkowa.

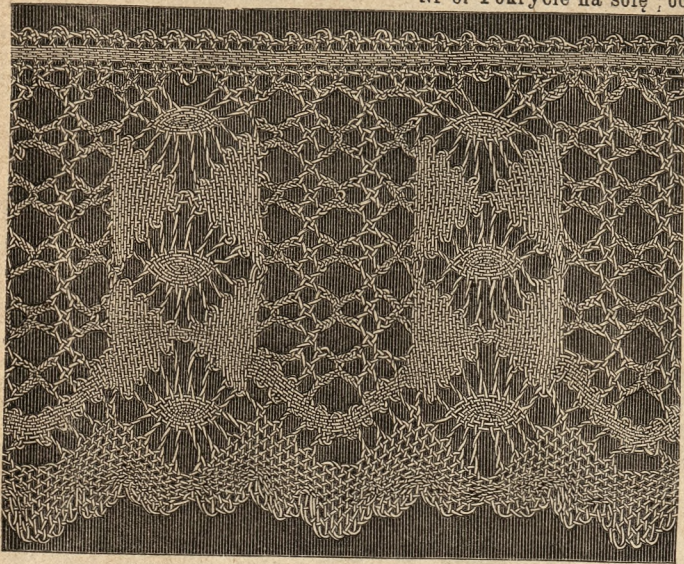
Nr 4. Kapeluszb z angielskiej słomki.

Nr 5. Kapotka z tiulu.

lub aksamitne wązkie paski — na kolorze beżu — cieniowane bordeaux, a nawet mieszane z granatowym i ciemnozielonym — są w tym rodzaju w różnych kolorach. Dyspozycja sukni w takim razie jest: spódniczka gładka w aksamitne paski, krótka drape-



Nr 6. Pokrycie na sofę; ozdobnym i gobelinowym haftem oraz szydeł. rob. (Do r. 15 oraz r. 2 w B. Nr 17).

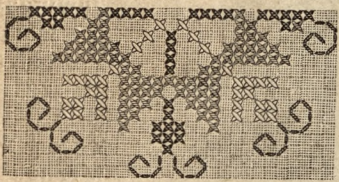


Nr 7. Koronka nicianska klockową rob. Wielkość nat. (Do r. 8 i 9).

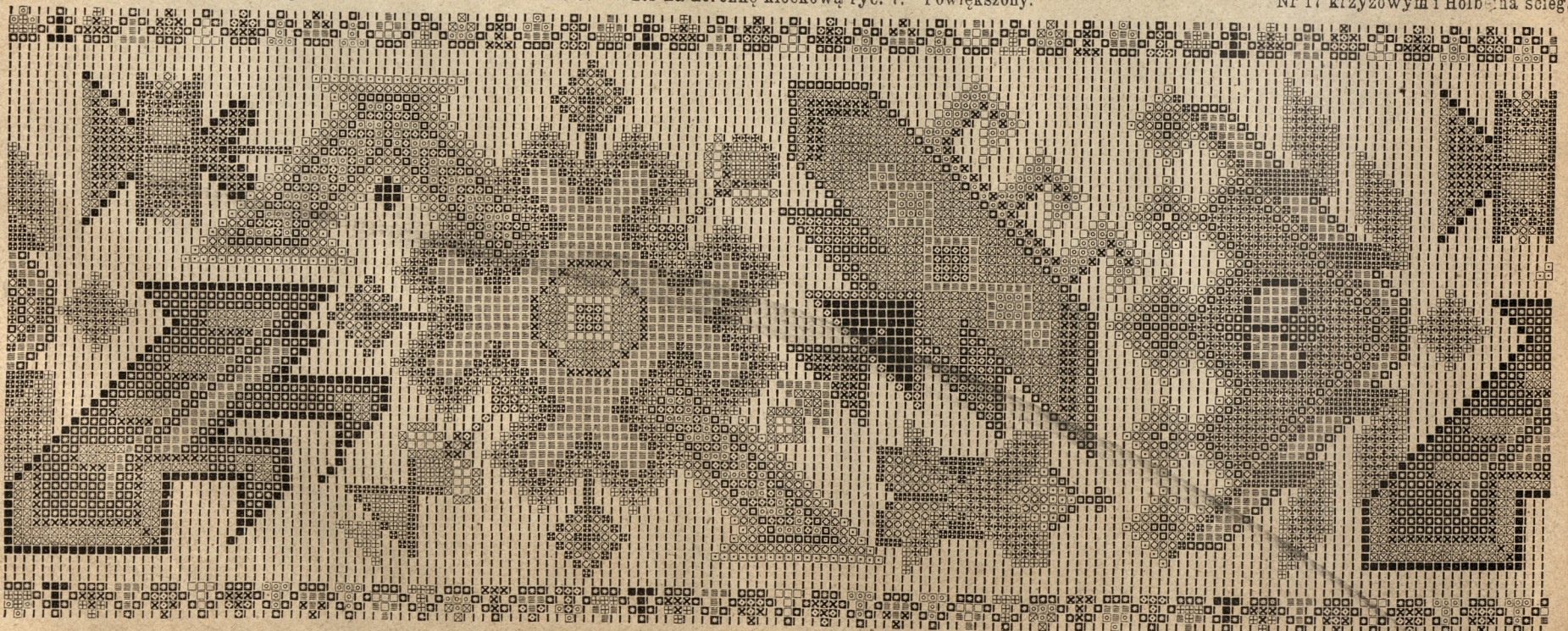
rya i stanik z gładkiej wełny — lub przeciwnie i są to dwa rodzaje fasonów, które będą ogólnie noszone tego roku. Dla pań głównie gładkie wełny będą w użyciu, a prostota fasonu dodaje im wdzięku. Kostium składa się z prostej spódniczki marszczącej, bardzo szerokiej i bufiastej; staniczek krótki na biodrach, z przodu i z tyłu zakończony w nieznaczny bawet, z tyłu zdoł węzeł z puklami z morowej szerokiej wstążki aksamitnej lub „ottoman“, zakrywający cały tył sukni, czyli długa szeroka szarfa. Oprócz tych praktycznych sukien, są także różne fantazyjne, na przykład: na gładkiej wełnie jasnego drzewa w dole palmy różnokolor-



Nr 11. Znak do białej.



Nr 13. Deseń na haft do r. 31 w B. Nr 17 krzyżowym i Holbeina ścieg.



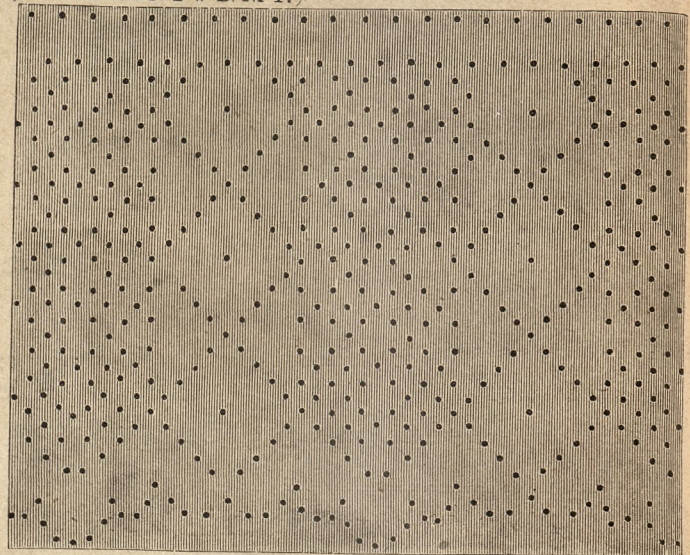
■ pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaśn.) niebieski, ■ pierw. (najciem.), × drugi, □ trzeci, □ czwarty (najjaśn.) pasowy, □ ciemno-rezedowy, □ jasno-rezedowy, □ pierw. (najc.), ○ drugi, □ trzeci (najjaśn.) brązowy, □ ciemno-modny, □ jasno-modny, ' tło. Nr 15. Szlak na sofę ryc. 6.

drogo, przy małej ilości materiału, wymaganego dziś na suknie.

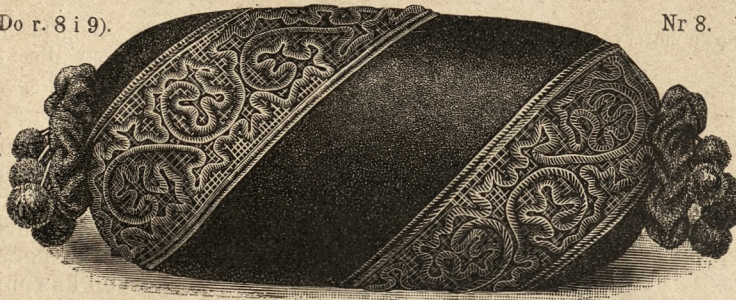
Wracamy jeszcze raz do kolorów modnych; wszelkie cienie od jasnego koloru beżu i wszystkich kolorów drzewa, wydry, oliwkowo-brązowy, ołowiany, ołowiano-elektry-

rowe, pół-łokciowe, rzucające jedna obok drugiej, jest to gust wschodni, na pamiątkę tragedji „Teodora“, za której rozgłosem naturalnie wszystko iść musi — spódniczka taka marszczy się w pasie, a palmy stanowią szlak w dole — są jeszcze inne materiały, do których osobne są szlaki perskie do naszywania.

Choć to jeszcze za wcześnie mówić o zefirach i satinetach, ale przypadkiem spotkałam się w składzie pana Penkali z francuzkami satinetami i zefirami po 30 i 40 kop., a śliczne wełniane zefiry przeszłoroczne po 70 kop. podwójnej szerokości, armury czysto wełniane i kaszmiry po 80 kop. — to już też nie



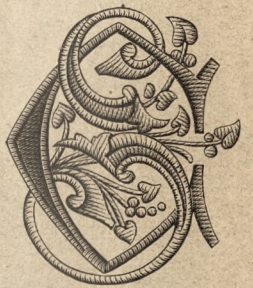
Nr 8. Wzór na koronkę klockową robota r. 7. Wielkość natural.



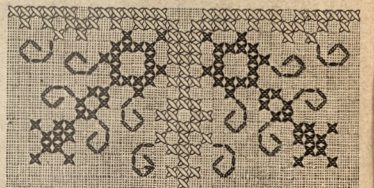
Nr 10. Wążek do oparcia głowy haftowany. (Do r. 6 w B. Nr 17).

czny. Zielone bardzo modne; nowe kombinacje tego koloru, są kolor absyntu (wódki piołunówki), śliczny ciemno-szmaragdowy, od likieru „chartreuse“, zielony kolor jaszczurki i malachitu. Wszystkie te barwy mieszane będą z czarnem, jest to połączenie bardzo gustowne, trzeba jednak mieć bardzo dobry gust, aby umiejętnie te dwie barwy pomieszać. Niebieski zarzucono, zostawiając tylko

jako modny, popielato niebieski kolor nieba, zwany „lazulite“, przyp. ma on kolor niebieski, noszony na mundurach huzarskich, jest tylko o wiele bledszy, ale bardzo dystyngowany. Na gorące dni lata zapowiadają ognisto-



Nr 12. Znak do białej.

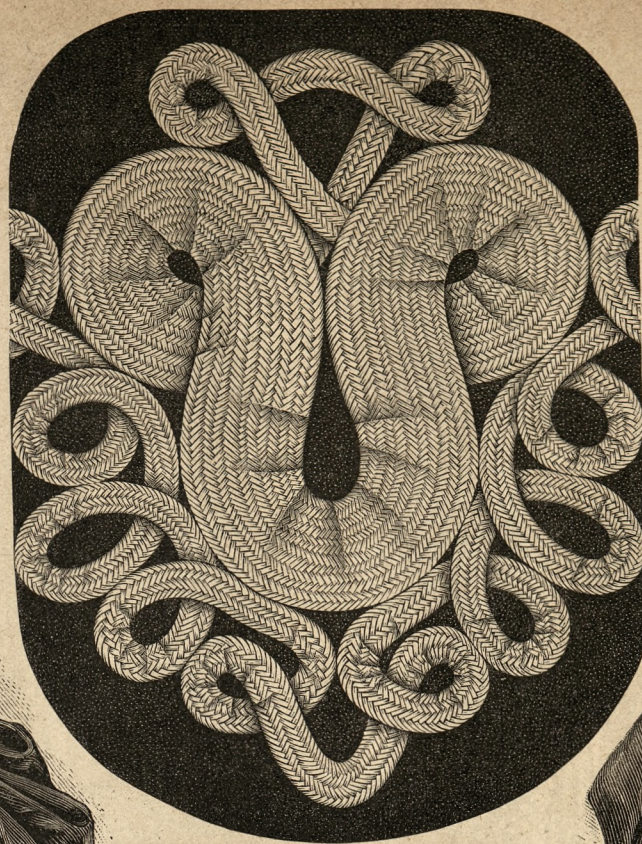


Nr 14. Deseń na haft do r. 31 w B. Nr 17 krzyżowym i Holbeina ścieg.

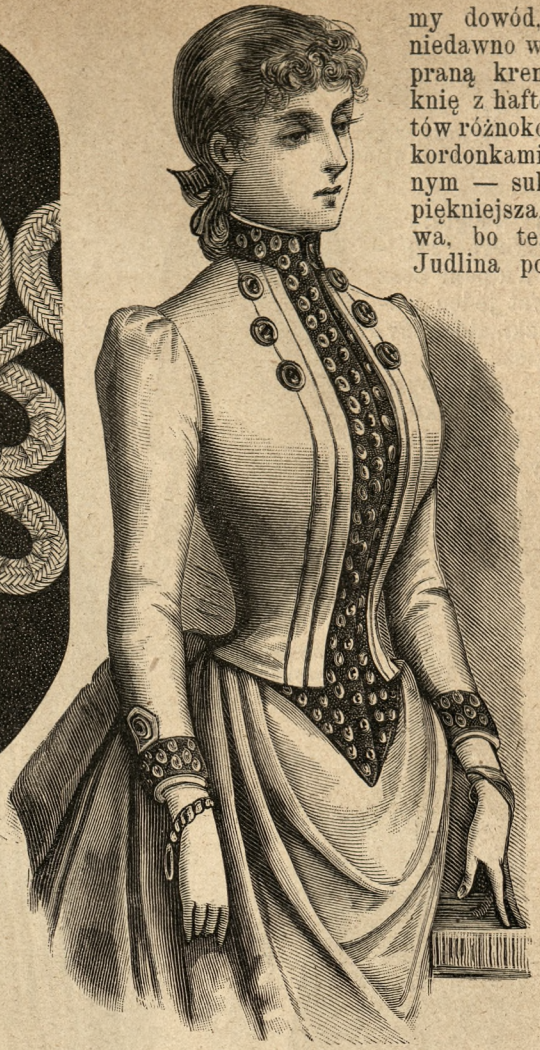
pasowy kolor maku. Perły, perełki wszelkich kolorów używają do przybrania sukien, okryć i wszystkiego, co się tylko da, zdobi perłami. Stalowe, których blask zawsze był tak miły dla oka, dziś zmieniły kolor na ołowiany matowy, wcale nie szlifowane, lecz okrągłe. Perełki tego stopnia są na czasie, że zapowiadają perły drewniane, które robić będą hafty na sukniach. Gdy mowa o haście, musicie my czytelniczki Bluszczu powiadomić o nowej ha-



Nr 17. Fichotka z crêpe-de-chine i wełnianej koronki. Opis odwr. str. tabl.



Nr 16. Część szlaku do ryc. 22 i 35.



Nr 18. Suknia z wełnianego materiału i velours-frise. (Do ryc. 24 i 27).

my dowód, widząc niedawno w witrynie praną kremową suknię z haftem kwiatów różnokolorowych kordonkami wykonanym — suknia była piękniejsza, jak nowa, bo też pralnia Judlina posiada do każdego rodzaju prania odrębne maszyny do wytłaczania haftu, podnoszenia aksamitu i t. p. a ponieważ w wiosnę i na jesieni każda z nas ma coś do odświeżenia, więc przypominać że u nas w kraju jedyną firmą, co wszystko bez wyjątku, czy-

tarni, przy ulicy Karmelickiej Nr 11, a mieszkania 20, gdzieśmy przypadkowo widzieli śliczne hafty, na wyprawę dla bogatej dziewczynki. Bo osoby nie zamożne, a pracowite i innymi pracami niezajęte, haftują sobie



Nr 19—21. Przepięcia ze szlifowanych guzików. (Do ryc. 28 i 29).

i odświeża — a farbuje dobre tkaniny, bo złe nie przyjmują dobrze farb anilinowych i nawet żadnych — a my w wymaganiach naszych przeszliśmy o tyle dalej, iż złe ufarbowanej tkaniny nosić nie będziemy.



Nr 23. Suknia z bizonu. Plecy. (Do ryc. 34).



Nr 22. Okrycie z angielskiego wełnianego materiału. Plecy. (Do r. 35).

same podług wzorów, w piśmie naszym podawanych. Była tam suknia podkładanym haftem i pokrycie na meble pluszowe, ze ślicznymi monogramami, a wszystko wcale tanio wykonane. Ze wszelkie hafty wybornie pierze chemiczna pralnia Judlina (Niecała 9), mieliś-



Nr 24. Suknia z wełnianego materiału i velours-frise. Plecy. (Do ryc. 18 i 27). Opis odwr. str. tabl.

Nr 25. Okrycie krótkie z repsu „ottoman“. Przęd. (Do ryc. 5 w Blu. Nr 17). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 19 — 23

Nr 27. Spódniczka do sukni ryc. 18 i 24. Opis odwr. str. tabl.



Nr 26. Spódniczka do sukni ryc. 18 w Blu. Nr 17. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 30.





Nr 28. Pierwszy szczegół do ryc. 19 i 20.
Wielkość naturalna.



dzie pana Weigta, róg Krakowskiego-Przedmieścia, a u pani Bosz jest nawet jeden model paryzki, słomiany, koloru beżu, ubrany gazowym, oliwkowym ze złotem szalikiem i dwoma tuffami piór oliwkowych i beżowych, wysoko upiętych, a kapelusz był zwykłej okrągłej formy na oczy,

Nr 30. Sukienka dla dziewczynki od 2 do 4 lat. Pleey. (Do ryc. 23 w Blu. Nr 17).



Nr 32. Suknia kaszmirowa.
Opis odwr. str. tabl.

Nr 33. Suknia z wełnianego materiału gładkiego i w deseń. Opis odwr. str. tab.

ale śliczny, pełen dystyngcyi, bo owe dwa kolory ze złotem wybornie się zlewały.
Parasole od

wym aksamitem, a przybrana stalową agrafką, oraz dwoma ciemno-pasowymi różami.



Nr 29. Drugi szczegół do r. 19 i 20.
Wielkość naturalna.



Nr 31. Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Prząd. (Do r. 24 w Bl. Nr 17).



Nr 34. Suknia z bizonu. Prząd. (Do r. 23).
Opis odwr. str. tabl.

deszczu „en tout cas“ i trochę większe, mają zawsze duże, zakrzywione ręczki drewniane, przybrane balonikami jedwabnymi lub kokardą ze wstążki — śliczne w tym rodzaju widzieliśmy w składzie taniej bielizny p. Kiersta (Bielńska Nr 5), którego specjalnością są obok bielizny, za graniczne parasole i parasoliki damskie.

L. C.

Kapelusz bastowy.

Rycina Nr 1.

Kapelusz ten formą toczka, z ciemno-granatowej ba-



Nr 36. Kapelusik dla dziewczynki od 2 do 4 lat. Prząd. (Do ryc. 16 w Blu. Nr 17).

Nr 37. Kapelusik dla dziewczynki do roku.
Opis odwr. str. tabl.

Nr 38. Kapelusik dla dziewczynki od 4 do 6 lat.
Opis odwr. str. tabl.



Nr 35. Okrycie z angielskiego wełnianego materiału. Prząd. (Do ryc. 16 i 22). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1 — 9.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa z wędzonką i jajami.
2. Kotlety bite wołowe z makaronem.
3. Cielęcina z rożną z parmezanem i świeżą sałatą.
4. Suflet cytrynowy.

Opis ryciny 2 do 5 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do dzisiejszego numeru.